MYCIE PO KĄPIELI str. 4

DIABELSKIE MŁYNY str. 6

AGENT NR 1200 DONOSI str. 7

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 33 (1027)
14 SIERPNIA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

HISTORIA NAJNOWSZA

EGIPT-1952

ADAM CZERSKI

Minęło 25 lat od dnia, kiedy ruch „Wolnych Oficerów" pod kierownictwem pułkownika Nassera dokonał w Egipcie wojskowego zamachu stanu. Monarchia została obalona, a feudalny dotychczas kraj wkroczył wówczas na drogę postępowych przemian społecznych i gospodarczych.

„Ia ich Naguib!"

Tamtego ranka przed 25 laty Kair budził się jak zwykle. Promienie słońca przenikały do zaułków wąskich uliczek stolicy Egiptu, które niebawem zaroiły się tłumem przechodniów. Wszyscy jak co dzień śpieszyli do pracy, bądź w sobie tylko wiadomych interesach. Właściciele sklepów podnosili żaluzje. Z głośników w licznych kafejkach dobiegały charakterystyczne dźwięki muzyki orientalnej. Tak zaczynał się dzień 23 lipca 1952 roku.

Czołgi i uzbrojeni żołnierze patrolujący rogatki i newralgiczne punkty miasta oraz strzegący budynków publicznych nikogo nie dziwili. Od kilku miesięcy sytuacja panująca w stolicy Egiptu była tak dalece napięta, iż niemal nie było tygodnia bez incydentów zbrojnych wymagających interwencji armii.

Dalszy ciąg na str. 6

ŁÓDŹ 77

PEJZAŻE

TADEUSZ PAPIER

Stary elektryk, emeryt, mój przyjaciel, nie potrafił wskazać miejsca, na którym jeszcze pół roku temu była wypożyczalnia książek pani Melanii Śliwkowskiej. Staliśmy na rogu Głównej i Kilińskiego. Domy na odcinku od Sienkiewicza do placu Zwycięstwa były wyburzone. Dom, w którym mieszkała Melania Śliwkowska, stał gdzieś między Kilińskiego i placem. Stary mówił:

— Zachodziłem do pani Melanii prawie codziennie. Lubiłem przebywać w jej bibliotece. Kocham książki, to zamiłowanie mam od dzieciństwa, a pani Melania umiała o nich interesująco opowiadać. Mogłem trafić do tego domu z zamkniętymi oczami. A teraz nie wiem, gdzie był ten dom.

Stary mówił dalej:

— Nie zapomnę atmosfery tej wypożyczalni. W dni chłodne paliło się w żelaznym piecyku. Pani Melania siedziała za małym kontuarkiem, otulona w szal, albo ubrana w wacIak, od czasu do czasu odzywał się dzwonek u drzwi, ktoś wchodził, rozglądał się po półkach, wybierał książkę, pani Melania nawiązywała z nim rozmowę, była bardzo oczytana, znała wszystkie nowości i umiała ładnie mówić, niejednemu posłużyła dobrą radą. Kto tu nie przychodził! Robotnicy i urzędnicy, emeryci. W okresie egzaminów, kiedy uczniowie szukali szkolnych lektur, drzwi

Dalszy ciąg na str. 5

BUDOWNICTWO

PREZENTUJEMY „TRÓJKĘ"

— czytaj na str. 3

NA MAPIE ŚWIATA

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

WYSPA PEŁNA NIENAWIŚCI

Agencje prasowe doniosły:

„W środę, 3 sierpnia rano zmarł w Nikozji w wieku 63 lat po ciężkim ataku serca, prezydent Cypru, arcybiskup Makarios, zasłużony bojownik o niepodległość tego kraju".

Funkcję tymczasowego szefa państwa objął przewodniczący parlamentu, przywódca Frontu Demokratycznego — **Spiros — Kiprianu.** Będzie ją piastował do najbliższych wyborów prezydenta, które zostały wyznaczone na 10 września 1977 r.

Policję i gwardię narodową Cypru postawiono w stan pogotowia. Odbyło się też posiedzenie rządu, który omówił nową sytuację, jaka powstała w wyniku śmierci arcybiskupa Makariosa. Na wyspie jednak — jak donoszą agencje prasowe — panuje spokój. Na Cyprze ogłoszono 40-dniową żałobę.

Ale tej żałobie poddała się tylko część wyspy. Ta część na której mieszkają cypryjscy Grecy. Na pozostałej części Cypru, gdzie mieszkają cypryjscy Turcy jeszcze w 5 godzin po ogłoszeniu przez rozgłośnię w Nikozji wiadomości o śmierci arcybiskupa Makariosa nadal nadawano muzykę rozrywkową i nie poinformowano cypryjskich Turków o tym fakcie. Dla cypryjskich Turków arcybiskup Makarios był wrogiem, człowiekiem, który sprzeciwiał się ich planom, zamiarom i dążeniom.

Cypr od 17 lat jest już państwem niepodległym, ale na Cyprze nie ma narodu cypryjskiego. Na Cyprze mieszkają Grecy i Turcy i wzajemnie się nienawidzą. Wielokrotnie też porywali się do walki. Ktoś tę nienawiść nazwał **„najstarszą nienawiścią świata".** Może przesadził, ale nie tak znów wiele.

Historia nienawiści

CYPR jest wyspą, położoną na Morzu Śródziemnym w jego wschodniej części. Powierzchnia tej górzystej wyspy ma 9,3 tys. kilometrów kwadratowych. Zamieszkuje ją 660 tysięcy osób, w tym 78,8 procent Grecy i w 17,5 procentach Turcy. Do 1974 roku 40 procent ludności mieszkało w miastach, a 40 procent pracujących utrzymywało się z rolnictwa. Do tego czasu Grecy mieszkali wśród Turków, a Turcy wśród Greków. Rok 1974 radykalnie zmienił sytuację na wyspie.

W starożytności Cypr znajdował się pod wpływami Rzymu i Bizancjum. Od 1192 roku do 1489 roku było na wyspie niepodległe Królestwo Cypryjskie, które w 1489 roku dostało się pod panowanie Wenecji. W 1571 roku Cypr przechodzi pod panowanie Turcji i pozostaje pod tym panowaniem do 1878 roku. Od tej pory zaczyna się panowanie brytyjskie. W 1925 roku Cypr otrzymuje status kolonii angielskiej.

Do drugiej wojny światowej walką wyzwoleńczą na Cyprze kieruje powstała w 1926 roku Komunistyczna Partia Cypru. Po wojnie walka nie wygasa. Trwa nadal i przybiera na sile. Toczy się ona pod różnymi hasłami. Grecy walczą o **„enosis"** — o przyłączenie Cypru do Grecji. Turcy cypryjscy walczą o **„taksim"** — o podzielenie wyspy. Greków na wyspie jest więcej i oni zwyciężają w 1950 roku w przeprowadzonym przez Anglików plebiscycie. **„Enosis"** jest wtedy hasłem dnia. Ale Brytyjczycy plebiscyt ignorują. Cypr pozostaje nadal pod ich panowaniem, ale na wyspie sytuacja staje się coraz bardziej dramatyczna. Dochodzi do walk między Turkami i Grekami. Mieszkający na jednej wyspie Grecy i Turcy nienawidzą się tak samo jak ich rodacy rozdzieleni wodami Morza Egejskiego.

W 1955 roku arcybiskup Makarios, który do tej pory opowiadał się raczej za **„enosis"**, występuje z hasłem walki o niepodległość dla wyspy. W 1959 roku w Zurychu i Londynie dochodzi najpierw do porozumienia między Grekami i Turkami, a następnie między Grekami, Turkami i Wielką Brytanią. **W 1960 roku Cypr otrzymuje niepodległość.** Powstaje Republika Cypru, a pierwszym premierem rządu cypryjskiego i prezydentem zostaje **arcybiskup Makarios III.**

Ojciec niepodległości

Michail Chrostodulos Muskos urodził się 13 sierpnia 1913 roku w miejscowości Ano Panajia. Kiedy miał 13 lat wstąpił do klasztoru w Kykkoe, położonego w górach Trodos. Klasztor ten od stuleci był centrum życia politycznego i duchownego na Cyprze. Kiedy miał 25 lat został diakonem. Uczył się i studiował w Grecji, a następnie w USA. Po ukończeniu studiów otrzymał święcenia kapłańskie. Do 1950 roku był metropolitą Kitionu. W tym to roku został arcybiskupem Cypru i przybrał imię: **Makarios III.**

Od najmłodszych lat związany był z ruchem dążącym do połączenia się z Cyprem. W 1949 roku stanął na czele tego ruchu, ale od 1952 roku coraz śmielej dąży do walki o niepodległość dla Cypru, staje wreszcie na czele tej walki. Zrozumiał bowiem, że przyłączenie Cypru do Grecji nie rozwiąże problemów tej wyspy, że ich rozwiązanie musi dokonać się na samej wyspie. I jeśli jako grecki patriota myślał o unii z Grecją, to jako polityk nie mógł do tego dążyć. Widział dość jasno, że w pobliżu brzegów Turcji nie może powstać wyspa, należąca do Grecji. Takie rozwiązanie zaostrzyłoby i tak dość silne konflikty między obu krajami.

W 1956 roku — za swoje dążenia niepodległościowe i walkę o niepodległość Cypru — został aresztowany przez Brytyjczyków i deportowany na Seszele, położone na Oceanie Indyjskim. Po uwolnieniu udał się do Aten i przebywał tam aż do czasu, kiedy porozumienia zawarte w Zurychu i Londynie umożliwiły mu powrót na Cypr.

Dla Turków cypryjskich był wrogiem zamierzającym narzucić im panowanie Greków. Na Cyprze wszystkie najważniejsze urzędy były zarezerwowane dla Greków cypryjskich, a cypryjscy Turcy byli tylko ich zastępcami, drugimi osobami. Dla Greków cypryjskich był umiłowanym przywódcą, szanowali go i wielbili, ale niektórzy też byli mu przeciwni. Czterokrotnie próbowano go zabić. W 1970 roku próbowano zestrzelić śmigłowiec, w którym leciał arcybiskup Makarios. Raniono wtedy pilota śmigłowca. Czterokrotnie arcybiskup Makarios uniknął śmierci z rąk zamachowców. Czwarty raz **15 lipca 1974 roku.**

Niedziele i święta oraz inne wolne chwile spędzał arcybiskup Makarios w swojej willi w górach Trodos. Tak było i 14 lipca 1974 roku. W poniedziałek, **15 lipca 1974 roku** rano wracał do Nikozji samochodem, który prowadził jego brat, Jacounis Muskos. Udawał się najpierw do arcybiskupstwa, a następnie do pałacu prezydenckiego. Jego przejazd przez Waynes Keep — gdzie stacjonowały wojska greckie w sile 990 żołnierzy (Turcja utrzymywała zgodnie z postanowieniami z 1960 roku 650 żołnierzy) — był sygnałem dla zamachowców, których celem było zamordowanie prezydenta Cypru i przyłączenie wyspy do Grecji. Arcybiskup Makarios szczęśliwie dotarł do arcybiskupstwa, a później przeniósł się do prezydenckiej rezydencji. Właśnie przyjmował grupę dzieci z Kairu, która przybyła na Cypr na zaproszenie prezydenta Cypru, gdy powiadomiono, go, że czołgi i wozy pancerne są już na dziedzińcu prezydenckiego pałacu. 15 lipca 1974 roku o godzinie 10, radio w Nikozji nadało komunikat o śmierci prezydenta Cypru, arcybiskupa Makariosa III. W 4 godziny i 55 minut później Nikos Sampson został zaprzysiężony jako kolejny prezydent Cypru. W 50 minut później zdumiona ludność Cypru usłyszała głos swego prezydenta na falach Radia Wolnego Pafos:

— **Nie zginąłem** — mówił arcybiskup Makarios. — **Zamach junty nie powiódł się.**

Arcybiskup Makarios na wieść o zamachu wydostał się z prezydenckiego pałacu podziemnym przejściem. Z Nikozji wyjechał samochodem i udał się na terytorium angielskiej bazy. 16 lipca 1974 roku był już w Londynie.

Za cypryjskimi zamachowcami stali pułkownicy, którzy w Grecji sprawowali wtedy władzę. Rząd turecki w Ankarze z niepokojem obserwował wydarzenia na Cyprze i w 6 dni po zamachu tureccy żołnierze wylądowali na Cyprze. 200 tysięcy Greków uciekło z północnej części wyspy przed maszerującymi wojskami tureckimi. Turcy zajęli około 40 procent terytorium wyspy i pozostali. A wszystko to działo się w obecności wojsk ONZ, które miały strzec pokoju na Cyprze. Ale wojska ONZ były bezsilne wobec tureckiej inwazji.

Arcybiskup Makarios powrócił na Cypr **7 grudnia 1974 roku.** Ale Cypr był już podzielony, na część grecką i turecką. **13 lutego 1975 roku** przywódca Turków cypryjskich — **Rauf Denktasz** proklamował utworzenie **FEDERALNEGO PAŃSTWA TURECKIEGO CYPRU.** Państwo to powstało w części Cypru okupowanej przez wojska tureckie. Powołano rząd i zgromadzenie prawodawcze. Państwo Turków na Cyprze ma istnieć do momentu rozwiązania tak zwanego problemu cypryjskiego, czyli utworzenia takiego organizmu państwowego, w którym Grecy i Turcy na Cyprze mieliby jednakowe prawa i możliwości prowadzenia życia politycznego.

Dwie koncepcje

Arcybiskup Makarios wystąpił z koncepcją utworzenia państwa federacyjnego, w którym istniałyby kantony — na wzór szwajcarski — w tym 8 kantonów tureckich, a które byłyby podporządkowane centralnemu rządowi. Pod koniec 1976 roku w wywiadzie udzielonym **„Polityce"** arcybiskup **Makarios** mówił:

„W przypadku osiągnięcia porozumienia w sprawie powołania federacji jest rzeczą zrozumiałą, że zostaną powołane dwie administracje lokalne wraz z rządem centralnym, który powinien mieć wystarczające uprawnienia dla zagwarantowania jedności niepodległego państwa".

„Polityce" wywiadu udzielił też **Rauf Denktasz.** Powiedział on między innymi:

„Pozwólcie nam stworzyć system federalny. (...) musi to być system federalny ze słabym rządem centralnym, ponieważ Grecy, jak dotychczas, niewłaściwie wykorzystywali silną władzę rządu centralnego. Odmawiali nam wszelkich praw i uprawnień... Traktowali nas jak wrogów. Odsuwali nas od wszystkiego. Nie chcemy dać im ponownie tej szansy.

...dzisiaj jesteśmy z siebie bardzo zadowoleni. Możemy i chcemy zrobić znacznie więcej. Natomiast ze zrozumiałych względów nie chcemy ponownie podlegać władzy Greków cypryjskich".

Na podzielonej wyspie

Ale wbrew temu, co mówi Rauf Denktasz cypryjscy Turcy nie mają wiele powodów do zadowolenia z siebie. 25 maja 1977 roku, w czasie kolejnej tury rokowań grecko-tureckich na Cyprze, prowadzonych pod egidą ONZ, Turcy cypryjscy wystąpili z żądaniem zaprzestania „wojny gospodarczej" prowadzonej — ich zdaniem — przez stronę grecką na Cyprze. Grecy cypryjscy bojkotują tych wszystkich, którzy utrzymują stosunki handlowe z Turkami cypryjskimi i ich federalnym państwem na Cyprze. Zatrzymano na przykład duński statek handlowy, który w kwietniu 1977 roku zawinął do portu w Famaguście, leżącego po tureckiej stronie Cypru. Cypryjski Bank Centralny ostrzegł inne banki, że nie będzie realizował i akceptował wszelkich transakcji zawartych w obcych walutach, które zostaną zawarte po tureckiej stronie Cypru.

Wyspa została rozdzielona **„zieloną linią"**, a strzegą jej posterunki Greków cypryjskich, wojsk ONZ i tureckie. Między obiema częściami Cypru nie ma połączeń telefonicznych. Każda ze stron ma na wyspie własne lotniska, własne systemy energetyczne, wodociągi. Po stronie tureckiej zmieniono nazwy miejscowości na tureckie. Na przykład **Famagusta** nazywa się obecnie **Magos. Alper Orhon** — przywódca Ludowej Partii Republikańskiej, będącej w opozycji do ugrupowania Raufa Denktasza, twierdzi, że **„wszystkie rynki zagraniczne zostały zamknięte dla produktów państwa federalnego.** Rząd turecki wysłał na wyspę 6 tysięcy Turków, zwanych „kolonami", którzy mają przyczynić się do prawidłowego funkcjonowania gospodarki w tej części wyspy. Mogą tu też osiedlać się żołnierze, którzy w 1974 roku walczyli na Cyprze.

Blisko 18 procent ludności Cypru zagarnęło blisko 50 procent potencjału gospodarczego wyspy, a w tym 80 procent urządzeń turystycznych oraz przeszło 60 procent potencjału eksportowego wraz z największym portem w Famaguście. Jeszcze w 1973 roku Cypr zarabiał na turystyce co najmniej 60 milionów dolarów. Dziś — zero. Przy czym te straty ponosi głównie strona zajęta przez Turków. Tutaj dwukrotnie więcej płaci się za wszystko niż po stronie greckiej. Dawne plantacje cytrusów, które pozostały po stronie tureckiej znajdują się w stanie opłakanym.

— Im więcej produkujemy, im wyższy standard życia możemy zapewnić naszym ludziom, tym mniej uwagi świat poświęca naszym sprawom, polegającym na tym, że Turcy siedzą na przeszło jednej trzeciej terytorium naszej ziemi i odmawiają wycofania się — powiedział korespondentowi „Reutera", Johnowi Biermanowi jeden z cypryjskich biznesmenów.

Grecka strona Cypru przeżywa boom. Wartość eksportu w tej części Cypru wzrosła na przykład z 57 milionów funtów cypryjskich w 1973 roku do 100 milionów funtów cypryjskich w 1976 roku. Spadło bezrobocie. Greccy uchodźcy w tureckiej strony osiedlili się na wsiach opuszczonych przez Turków cypryjskich. Na ten „cypryjski cud gospodarczy" złożyło się kilka przyczyn: zamknięcie portu w Bejrucie, napływ uciekinierów libańskich, złe zbiory ziemniaków w Wielkiej Brytanii. Boom — jak na razie — utrzymuje się. Ale co będzie dalej?

Podpułkownik **Leo Maier-Frank,** długoletni zastępca komendanta austriackiego korpusu sił pokojowych ONZ, w **„Die Weltwoche"** napisał:

„Poza stroną materialną jednak wszystko musi napawać głębokim pesymizmem. Zarówno Grecy, jak i Turcy zabrali się już energicznie do wychowania przyszłego pokolenia do walki. Przejrzałem greckie i tureckie podręczniki szkolne: roją się one od zniesławiających twierdzeń na temat drugiej grupy ludnościowej. (...) Odwiedziłem przedszkola: śpiewa się tam pieśni o bohaterach narodowych i nic poza tym. Na północy Cypru wyrostki trenują „strzelanie do Greków", na południu Cypru „strzelanie do Turków". Organizacje paramilitarne mają dobrą koniunkturę".

Skąd może przyjść rozwiązanie?

Cypr znajduje się w sferze zainteresowań różnych państw. **Wielka Brytania** ma na Cyprze swoje bazy. Cypr leży w odległości 80 km od Turcji. 100 km od Libanu i mniej niż 100 km od Syrii. Cypr pozwala na kontrolowanie całego Bliskiego Wschodu Bombowce dalekiego zasięgu mogą z Cypru dolecieć aż nad Morze Kaspijskie. Cyprem interesuje się więc też i **NATO.** Ale arcybiskup Makarios był przeciwny wszelkim związkom Cypru z NATO.

Organizacja Narodów Zjednoczonych — Zgromadzenie Ogólne i Rada Bezpieczeństwa — podjęły już 30 rezolucji w sprawie Cypru. Dotyczą one poszanowania suwerenności wyspy, jej terytorialnej integralności oraz polityki niezaangażowania Republiki Cypru. Zgromadzenie Ogólne ONZ zaleciło też swemu sekretarzowi generalnemu — **Kurtowi Waldheimowi pośredniczenie** w rozmowach między Grekami i Turkami na Cyprze. Na Cyprze urzęduje stały przedstawiciel sekretarza generalnego ONZ — **Perez de Cuellar.**

— Między obiema stronami — powiedział on z okazji rozpoczęcia ostatniej tury rozmów w Nikozji — **istnieje przepaść i celem Narodów Zjednoczonych jest zlikwidowanie tej przepaści.**

Ale rozmowy w Nikozji, podobnie, jak poprzednie w Wiedniu, nie doprowadziły do żadnego porozumienia. ONZ jest w gruncie rzeczy bezsilna. ONZ wychodzi z założenia, że warunkiem rozwiązania problemu cypryjskiego jest wycofanie z wyspy wszelkich obcych wojsk.

Związek Radziecki proponuje zwołanie międzynarodowej konferencji, która obradowałaby pod auspicjami ONZ i która zajęłaby się przyszłością wyspy. Problemem tym interesuje się też **USA.** Na Cyprze bawił wysłannik prezydenta Jimmy Cartera — **Clark Clifford.** Jego wizytę potraktowano jako sondaż. Ale Clark Clifford po powrocie z Cypru był pełen optymizmu i oświadczył, że **„widzi konkretną możliwość rozwiązania problemu cypryjskiego".** Jego optymizm był tak wielki, że pozwolił mu widzieć tę możliwość w najbliższym czasie.

— Stany Zjednoczone — mówią na Cyprze niektórzy Grecy — **chcą rozwiązania kwestii cypryjskiej nie dlatego, że kierują się poczuciem sprawiedliwości, ale dlatego, że chcą odnowić serdeczne stosunki z ważnym sprzymierzeńcem z NATO, z Turcją.**

Taki pogląd pozwala niektórym cypryjskim Grekom optymistycznie patrzeć w przyszłość. Uważają oni, że mediacja **USA,** niezależnie od tego, jakimi pobudkami będzie się kierowała, może przyczynić się do ustępstw ze strony Turcji. **Turcji** wszakże zupełnie nie zależy na włączeniu tureckiej części wyspy do swego terytorium państwowego. W takim wypadku **Grecja** włączyłaby pozostałą część do swego i greckie terytorium znajdowałoby się w bliskiej odległości od granic Turcji. A Turcja z Grecją mają do rozstrzygnięcia inną jeszcze sprawę — nafty odkrytej pod Morzem Egejskim. Cypr w tym sporze może jeszcze spełnić rolę argumentu przetargowego, więc lepiej na razie w sprawie Cypru nic konkretnego nie postanawiać.

Cytowany już **Leo Maier-Frank** jest pełen pesymizmu. Pisze on:

„Nowa wojna domowa szykuje się na oczach ONZ, której żołnierze i policjanci już od 13 lat stacjonują na Cyprze z zadaniem zabezpieczenia pokoju. Będzie to wojna gorsza jeszcze od dotychczasowych rzezi. Tradycyjna nienawiść między Grekami i Turkami jest dzisiaj większa niż kiedykolwiek".

Arcybiskup Makarios zdawał sobie sprawę z niezwykłej złożoności sytuacji. Uważał, że problem cypryjski musi być rozwiązany przede wszystkim przez oba narody zamieszkujące Cypr. W wywiadzie dla **„Polityki"** powiedział między innymi:

„Stanowisko strony tureckiej nie pozwala mieć większych nadziei na szybkie rozwiązanie problemu cypryjskiego. Dlatego wielokrotnie powtarzałem, że nie jest wykluczona konieczność prowadzenia długotrwałej walki. Jednakże nie powinniśmy wykluczać innych możliwości i sposobów, które przyspieszyłyby osiągnięcie porozumienia".

Śmierć arcybiskupa Makariosa jeszcze bardziej komplikuje sytuację wyspy. Zabrakło człowieka, który swoim autorytetem, łącząc przywództwo duchowe i polityczne, dążył do pokojowego rozwiązania konfliktu. Czy jego następca potrafi podołać temu zadaniu?

Agencje prasowe snują przypuszczenia na temat, kto zajmie opuszczone miejsce? Czy nastąpi rozdzielenie funkcji kościelnych i państwowych? Gdyby tak nie stało się, to wymienia się jako czołowego kandydata na arcybiskupa Cypru i prezydenta jednocześnie biskupa **Chrystostomosa** — rzecznika poglądów konserwatywnych. Gdyby jednak nastąpiło rozdzielenie obu tych funkcji, to wymienia się jako kandydatów: konserwatystów **Glafkosa Kleridisa i Tassosa Papadopulosa.** Ten ostatni prowadzi rokowania z cypryjskimi Turkami. Ugrupowania centrowe reprezentuje były minister spraw zagranicznych Cypru i bliski współpracownik Makariosa — **Spiros-Kiprianu.** Jednak jego stan zdrowia nie rokuje mu większych nadziei.

Wśród potencjalnych kandydatów są też: **Tassos Lisarides** — przywódca partii socjalistycznej, posiadający liczne powiązania z krajami niezaangażowanymi; **Ezakias Papajoannu** — przywódca silnej partii komunistycznej, która dysponuje blisko jedną trzecią głosów i jest najlepiej zorganizowaną partią na wyspie, a do tej pory popierała politykę arcybiskupa Makariosa; **Paskalis Paskalides** — prezes dużej spółki górniczej, o którym mówi się, że arcybiskup Makarios widział w nim swego następcę, wychodząc z założenia, że o przyszłości Cypru powinni decydować nie politycy, a ludzie interesu.

Wszelkie te przewidywania w najbliższej przyszłości mogą się zupełnie nie sprawdzić, gdyż ta przyszłość może przynieść zupełnie nieoczekiwane rozwiązania, jako że oddziaływać na nią będzie wiele bardzo różnych i wzajemnie skomplikowanych czynników. Trzeba jednak mieć nadzieję, że skomplikowany problem Cypru nie stanie się źródłem nowych napięć i tak już w trudnej sytuacji międzynarodowej, że rozwiązanie tego problemu nie utrudni prowadzonej z takim wysiłkiem polityki odprężenia.

INFORMACJE

WYSTAWA W. HASIORA W LONDYNIE

W jednej z najbardziej reprezentacyjnych sal wystawowych Londynu — Royal Festival Hall, otwarto wystawę dorobku ostatnich lat Władysława Hasiora.

Na otwarcie wystawy przybyli licznie przedstawiciele brytyjskiego świata kulturalnego, dziennikarze, przedstawiciele tutejszej Polonii, miłośnicy i sympatycy twórczości polskiej.

Wystawa Władysława Hasiora, prezentowana będzie do 20 sierpnia br. a następnie zostanie przeniesiona do Coventry.

KONKURS PAMIĘTNIKARSKI

W związku z 60 rocznicą Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, ZG TPP-R i Centrum Pamiętnikarstwa Polskiego ogłaszają konkurs, którego celem jest stworzenie wszechstronnego wizerunku pamiętnikarskiego spotkań Polaków z ideami wielkiego października oraz ludźmi, kulturą, nauką, techniką i krajobrazem Związku Radzieckiego.

Organizatorzy zwracają się o powszechny udział w konkursie do mieszkańców miast i wsi, ludzi wszystkich zawodów i środowisk kombatantów II wojny światowej, działaczy politycznych i społecznych. Każdy uczestnik konkursu może dowolnie wybrać formę wypowiedzi zgodnie z własnymi doświadczeniami i udziałem w opisywanych wydarzeniach. Brak wprawy w pisaniu nie zmniejsza szansy druku wypowiedzi i uzyskania nagrody. Prace drukowane będą honorowane niezależnie od nagród.

Konkurs trwać będzie do 31 października br. Tekst wspomnień — w maszynopisie lub czytelnym jednostronnym rękopisie — z podaniem do wiadomości organizatorów: nazwiska, adresu, wieku, wykształcenia i zawodu — należy przesyłać do Centrum Pamiętnikarstwa Polskiego, ul. Nowy Świat 18/20, 00-373, Warszawa, z dopiskiem na kopercie „Moje spotkania z życiem Kraju Rad".

POLONIJNE SPOTKANIA Z PIOSENKĄ ZAKOŃCZONE

W Zielonej Górze zakończyły się polonijne spotkania z polską piosenką. Decyzją komisji artystycznej młodzi wykonawcy polskich piosenek zostali wyróżnieni za upowszechnianie polskiej kultury muzycznej poza granicami kraju. Puchar Ministerstwa Kultury i Sztuki otrzymał polsko-węgierski Zespół im. gen. Bema z Budapesztu. Równorzędne puchary: Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia" i wojewody zielonogórskiego przyznano zespołom: „Robinsonki" z czeskiego Cieszyna i „Biedronki" z Kanady. Violetta Ibańska z Kowna otrzymała puchar prezydenta Zielonej Góry.

ŁÓDZCY AKTORZY W TELEWIZJI

Znany aktor Teatru Nowego w Łodzi — Zbigniew Józefowicz ukończył pracę nad rolą w sztuce radzieckiego dramaturga M. Roszczyna pt. „Małżeństwo szuka pokoju". Gra w niej postać fotografa, który przeżywa drugą młodość. Premiera sztuki, którą zrealizował Tadeusz Worontkiewicz w łódzkim ośrodku TV, planowana jest na wrzesień.

ZESPOŁY ARTYSTYCZNE ZDUŃSKIEJ WOLI

W robotniczej Zduńskiej Woli działa wiele zespołów propagujących folklor miejski. Członkami ich są głównie pracownicy miejscowych zakładów pracy i młodzież. Wielu zespołom patronują Zakłady Przemysłu Bawełnianego „Zwoltex". W Zduńskiej Woli działa Kapela Podwórkowa przy Wojewódzkim Domu Kultury, Dziecięcy Zespół Artystyczny Ziemi Sieradzkiej, pracujący przy Ognisku Pracy Pozaszkolnej, Dziecięca Kapela Klubu Zakładowego „Wola" a także Zespół Robotniczego Klubu Fabrycznego ZPB „Zwoltex".

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji). Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

PREZENTACJA „TRÓJKI"

Z dyrektorem Łódzkiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Mieszkaniowego nr 3 — inż. LEONARDEM GÓRALSKIM rozmawia Bogda Madej.

Problemy budownictwa zawsze były w centrum zainteresowania opinii publicznej, bo to przecież mieszkania, nowe sklepy, punkty usługowe, żłobki, przedszkola i szkoły, a więc to, czego nam nieustannie brakuje, na co ludzie czekają z utęsknieniem i z niecierpliwością. Teraz, po VIII Plenum KC PZPR zainteresowanie budownictwem jeszcze bardziej wzrosło, jako że szybciej i lepiej mamy osiągnąć nakreślone przez partię cele. Ale też bardzo często ludzie mówią ogólnie: b u d o w l a n i. Ich obarczają winami za powszednie grzechy budownictwa, ich chwalą, kiedy chwalić jest za co, do nich mają pretensje za opieszałość i niedbalstwo. A budownictwo jest przecie niejednakie. Dlatego chciałabym prosić, aby można było na początek zaprezentować Czytelnikom „Trójkę". Co można byłoby w skrócie powiedzieć o Łódzkim Przedsiębiorstwie Budownictwa Mieszkaniowego nr 3?

— Zacznę może od tego — **mówi inż. Leonard Góralski** — że powiem, gdzie budujemy. Wiadomo wtedy będzie, co postawiliśmy i do kogo mieć za to pretensje lub kogo chwalić. A więc budowaliśmy osiedle „Łęczycka — Przędzalniana" i już je kończymy. Budujemy też na osiedlu „Widzew — Wschód" zespół „C" i stawiamy wysokie budynki w zespole „D". Mamy jeszcze w tym roku rozpocząć prace w zespole „A" i „B". Poza tym budujemy obiekty pojedyńcze. Budowaliśmy na przykład domy przy Placu Wolności, kino „Iwanowo", Instytut Medycyny Pracy. Budujemy szkoły, pawilony handlowe, bibliotekę dla Akademii Medycznej. Budujemy nie tylko w Łodzi, ale w całej aglomeracji miejskiej, w Pabianicach, Konstantynowie, Zgierzu, Strykowie...

W tym roku mamy wybudować 7 600 izb, dwa pawilony usługowe, szkołę i jeszcze wiele drobniejszych obiektów.

— Zadania tego roku są wyższe od zadań z roku ubiegłego?

— O 1 600 izb i będą również w przyszłym roku wyższe. Zaczęliśmy od 4 tysięcy izb w 1971 roku. Doszliśmy już do 7 600 izb. W przyszłym roku będziemy musieli postawić około 9 tys., a w 1979 roku — 11 tysięcy izb, co jest celem przedsiębiorstwa.

— Budujecie w oparciu o własną wytwórnię?

— Tak, posiadamy własne wytwórnie: „WK—70" na Dąbrowie i OWT w Srebrnej o łącznej produkcji około 11 tys. izb rocznie.

— Tyle, ile wynosi wasz cel.

— Część elementów z wytwórni w Srebrnej, które są przeznaczone dla budownictwa w miastach łódzkiej aglomeracji, oddajemy ŁPBW — Dąbrowa i OPB. Od przyszłego roku cała produkcja nowej wytwórni będzie już montowana i wykańczana przez nasze przedsiębiorstwo. Wytwórnię OWT przejęliśmy w 1976 roku i od razu rozpoczęliśmy produkcję. Było więc trochę kłopotu z przyswojeniem nowej technologii, trzeba było przeszkolić ludzi, przełamać ich przyzwyczajenia, bo budowaliśmy tylko w Łodzi, a teraz trzeba pojeździć i po województwie. Ale to już mamy za sobą.

Teraz czekamy na trzecią wytwórnię. Jest ona naszym zdaniem niezbędna, gdyż rosną potrzeby mieszkaniowe nie tylko Łodzi, ale i innych miast. Można nawet powiedzieć, że tam występują one ostrzej Odnosi się to zresztą nie tylko do Zgierza czy Pabianic. A zaspokojenie tych potrzeb nie będzie możliwe bez trzeciej wytwórni.

Trzeba stale szukać

— Czy przy tak dużym przyroście zadań ilościowych nie boi się Pan o jakość?

— Nie, nie obawiam się.

— Czy może Pan to uzasadnić?

— To bardzo proste. Gdybyśmy chcieli stale zwiększać ilość, nie szukając nowych możliwości, to można byłoby mieć takie obawy. Ale wychodzimy z założenia, że trzeba stale szukać nowych, bardziej nam odpowiadających rozwiązań.

— A czy te rozwiązania odpowiadają też mieszkańcom?

— Opory zdarzają się po obu stronach. I u przyszłych mieszkańców i w nas samych. Trzeba te opory pokonywać, jeśli wprowadzanie nowych technologii jest korzystne również dla obu stron. Innej drogi nie ma.

— Czy można prosić o przykłady?

— Mieliśmy kiedyś wielkie zaległości z elewacjami. Teraz zaległości te dotyczą tylko pięciu budynków. Przyśpieszenie prac elewacyjnych mogliśmy osiągnąć dzięki stosowaniu gotowych mas tynkarskich nanoszonych na ściany budynku przy pomocy urządzeń natryskowych. Stosujemy dwie podstawowe masy: poltex i fibrofop. W taki sposób zaczęliśmy wykańczać również klatki schodowe. Dało nam to również niezbędne przyśpieszenie. Nie potrzeba zatrudniać tylu tynkarzy, których zresztą ciągle brakuje. Nie musimy również budować w klatkach bardzo niebezpiecznych rusztowań. Teraz jedną klatkę schodową trzy osoby wykańczają w jeden dzień.

— A przedtem?

— Trwało to 3 tygodnie. Zakładamy też gotowe balustrady na balkonach i w klatkach schodowych. Nie budujemy już prowizorycznych. Osiągamy w ten sposób większe bezpieczeństwo w czasie pracy i nie tracimy czasu na dwukrotne robienie tego samego. Usprawniliśmy też we własnym zakresie kładzenie lastryka w klatkach schodowych...

Wprowadziliśmy też tapety w jednym z budynków w osiedlu „Widzew—Wschód".

— I jak to zostało przyjęte?

— Jak do tej pory dobrze. Tapety są w ogóle modne.

— Ale przyszły mieszkaniec ma swoje gusty. Jak w nie trafiacie?

— Nie trafiamy w ogóle, bo kładziemy białe tapety. Przez rok, kiedy budynek jeszcze — jak to się mówi fachowo — pracuje, nie powinno się wnętrza wykańczać. Tak więc po roku lokator takiego mieszkania może sobie położyć dowolne tapety, wedle własnego upodobania.

— A co wam to dało?

— W ciągu roku odchodzi od nas 10 tynkarzy. Wykańczanie tapetami pozwala nam zatrudniać pracowników o mniejszych kwalifikacjach. Do kładzenia tapet możemy np. angażować kobiety, a to już przy deficycie ludzi jest bardzo ważne.

— Ile „Trójce" brakuje ludzi?

— Do pełnego planu zatrudnienia brakuje nam 200 osób.

— A jak Pan ocenia załogę?

— Mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że w 80 procentach mamy załogę ustabilizowaną, dobrze przygotowaną, która wie już co to jest nowoczesne budownictwo, dla której budownictwo kojarzy się już nie z kielnią i cegłą, a z maszynami. W dużej mierze są to ludzie młodzi, wyszkoleni w naszych szkołach budowlanych.

Nie jesteśmy bez winy

— I na nic nie może Pan narzekać?

— Tego bym nie powiedział.

— Czy „Trójka" otrzymuje rytmiczne dostawy materiałów i elementów?

— W zasadzie tak, ale nie zawsze w takim wyborze, jaki jest nam potrzebny.

— Na przykład?

— Instalowaliśmy na przykład stalowe, nierdzewne zlewozmywaki. Najpierw brakowało nam lewostronnych, później prawostronnych, a teraz w ogóle wszystkich. Pozostały nam szafki do obudowy zlewozmywaków i nie wiadomo, co z nimi robić. Ale jakoś sobie z tym poradzimy.

— I to już wszystko?

— Nie. Gdyby tak było byłoby bardzo pięknie. Brakuje nam stali o określonych przekrojach i profilach. Nie zawsze dostajemy odpowiedni piasek, a później są odpryski w tynku w mieszkaniach. Trzeba to usuwać, a to pochłania wiele czasu. Nie mamy na czas odpowiednich gniazdek i rozetek do instalacji elektrycznej, kładzie się więc najpierw tynk, a później wykańcza instalację elektryczną, co jest i nieładne i znów zabiera czas, bo tynkarze muszą wracać, aby zrobić poprawki. Brakuje na przykład latexu — bardzo dobrego kleju.

— Czy jest Pan zadowolony z wykładziny zwanej lentexem?

— Nie. Chociaż nie generalnie. W niektórych przypadkach lentex sprawuje się dobrze, a w innych — nie.

—Dlaczego? Producent twierdzi, że daje dobrą wykładzinę, a tylko budowlani nie potrafią jej kłaść.

— Na pewno nie jesteśmy bez winy, ale jeśli w jednym pokoju dwa pasma lentexu są dobre, a na trzecim są odbarwienia, to nie jest nasza wina. Pomimo braku tzw. papierowych wskaźników wilgotności, podłoża są badane przez nasz nadzór metodami wprawdzie tradycyjnymi, ale już sprawdzonymi. Nasi fachowcy twierdzą jednak, że pogorszyła się znacznie jakość lentexu.

— Co zatem robić?

— Chcemy lentex zastąpić nową wykładziną — winigamem. Wychodzimy z założenia, że podłoga zawsze będzie narażona na zamoczenie, a więc wykładzina musi być taka, żeby gwarantowała trwałość.

Cisza w mieszkaniu

— Powszechne są skargi na zbytnią akustykę w nowych blokach.

— Zgadza się.

— Co robić aby tego nie było? Przecież wyższa jakość mieszkania to też zagwarantowanie ciszy w mieszkaniu, aby lokatorzy nie musieli poprzez ściany uczestniczyć w życiu sąsiadów. Mieszkanie musi gwarantować pewną intymność.

— Jest to zbieżne z dążeniem do zmniejszenia ciężaru domów. Beton niestety dobrze przewodzi dźwięki. Zastępowanie materiałów ciężkich lżejszymi powinno też sprzyjać zmniejszeniu akustyczności mieszkań. Na razie nam to jeszcze nie wychodzi. Nie wyszedł — jak to się potocznie mówi — plaster pszczeli, czyli zakładanie ścian działowych z prefabrykatów gipsowych.

— U nas w ogóle obserwuje się niechęć do stosowania gipsów, a jest to materiał powszechnie gdzie indziej używany.

— Prawda. Gips jest lekki, stwarza korzystny mikroklimat w mieszkaniu. Jest zdrowszy od betonu. Myślę, że uda się i u nas przezwyciężyć opory i zaczniemy stosować suche gipsy. Obawy biorą się stąd, że ludziom wydaje się, że gips jest materiałem nietrwałym. Poszukuje się więc takich rozwiązań, aby te obawy nie były uzasadnione.

— Jeśli już mówimy o ciszy w mieszkaniu, to czy uważa Pan, że lokowanie sklepów i usług w parterach budynków mieszkalnych jest szczęśliwym rozwiązaniem?

— Po pierwsze jest to konieczność. Po drugie — nieporozumienie polega zupełnie na czym innym. Fryzjer na parterze, sklep tekstylny, krawiec — wcale nie będą zakłócali ciszy. Wszystko zależy od programu, jakie mają przedsiębiorstwa handlowe. Uważam, że można to tak rozwiązać, aby była i wygoda dla mieszkańców, i nic nie zakłócało ich spokoju. A poza tym osiedle w nocy nie jest takie martwe. To też ma swoje znaczenie.

Doganianie planu

— Czy takie rozwiązanie wynika z tego, że nie jesteście w stanie szybko budować tego, co zwykło się określać mianem budownictwa towarzyszącego?

— Po części tak. Ale nie tylko. Wprowadzenie konstrukcji stalowych pozwoliło zwiększyć tempo stawiania pawilonów usługowych i handlowych. Tradycyjnie budowano taki pawilon 3 lata. Dzięki konstrukcjom stalowym — rok. Nie poprzestajemy jednak na tym. Budujemy na przykład na „Widzewie — Wschód" szkołę nr 132. Budujemy ją od kwietnia i mamy zamiar część dydaktyczną oddać już w sierpniu, a całość pod koniec roku. W taki sam sposób budujemy tam przychodnię lekarską. Termin ukończenia prac w 1979, a będzie gotowa w 1978.

— Dzięki czemu?

— Od czegoś trzeba zacząć, zaczęliśmy mięc budowę z tak zwanej „łódzkiej ramki". Prefabrykowany szkielet tego typu zastosowano wcześniej przy budowie gmachu „Unibudu". Do tego stosuje się prefabrykowane również płyty osłonowe. Eliminuje się znaczną część robót murarskich i tynkarskich.

— Jak realizujecie w tym roku plan?

— W półroczu wykonaliśmy 47 procent rocznego planu.

— Idealnie byłoby, gdybyście w półroczu wykonali 50 procent rocznego planu.

— Ale i tak nasz wynik nie jest zły.

— Czy to jednak gwarantuje 100 procent na koniec roku?

— Setka na koniec musi być.

— Pogoda wam nie przeszkadza?

— Przeszkadza. Ludzie mokną, a i niektórych robót w deszczu nie można wykonywać.

— Czy to są jedyne przeszkody?

— O brakach materiałów już mówiłem. Drugim poważnym brakiem jest słabe przygotowanie placów budowy. Zdarza się i tak, że budynek stoi, jest już wykończony a nie można go podłączyć do wody czy kanalizacji, nie mówiąc o cieple.

— Powszechnie narzeka się też na bałagan jaki zostawiają budowlani na placu budowy, po jej ukończeniu.

— Bywa i tak, ale staramy się z tym walczyć. I tak na przykład wszelki „złom budowlany", a więc płyty, których już nie można użyć i inne prefabrykaty wykorzystaliśmy na Widzewie do budowy parkingów. Stosujemy prefabrykowane elementy do ogradzania placu budowy. Mamy żelazne bramy, które można wielokrotnie używać. Mogę zapewnić, że nie zostawiamy worków z cementem, bo ich nie posiadamy. Cement dostajemy luzem i przechowujemy go w pojemnikach.

Nie są to jeszcze place budowy takie, jakie powinny być, ale staramy się zerwać z prowizorką, z bałaganem, bo zdajemy sobie sprawę, że plac budowy jest obrazem organizacji pracy, daje o niej jakieś pojęcie. A więc i organizację pracy poprawiamy.

— A jak wygląda wasze wyposażenie w sprzęt wszelkiego rodzaju?

— Jeśli chodzi o sprzęt ciężki, to opiekuje się nim Przedsiębiorstwo Gospodarki Maszynami Budowlanymi i nie mamy powodów do narzekania. Gorzej jest natomiast z tak zwanymi elektronarzędziami. Tych i brakuje, i nie ma kto ich konserwować i naprawiać. A ludzie coraz bardziej chcą się takimi właśnie narzędziami posługiwać.

— Czy uważa Pan, że „Trójka" jest przygotowana do spełnienia wyższych zadań, jakie trzeba będzie zrealizować do 1985 roku?

— Na to pytanie nie można odpowiedzieć: tak albo nie. Dążymy do tego, aby zerwać z doganianiem planu. Chcemy plan realizować systematycznie i w miarę rytmicznie. Stawianie wyższych zadań wynika z potrzeb społecznych, ale ma też dla załogi działanie mobilizacyjne, zmusza do szukania rezerw, do doskonalenia organizacji pracy, do szukania nowych i lepszych metod, do interesowania się postępem technicznym. I jeśli przedsiębiorstwo takie działania podejmuje, a my je podejmujemy i będziemy dalej podejmować, to nie ma potrzeby bać się rosnących zadań. W tym sensie mogę więc powiedzieć, że jesteśmy przygotowani, gdyż nie mamy zamiaru poprzestać na tym, co osiągnęliśmy. Natomiast, gdybym powiedział, że już jesteśmy przygotowani, to byłby to niczym nie uzasadniony optymizm i rozminąłbym się z prawdą.

Staramy się nieustannie mieć świadomość naszych braków i zadaniem kierownictwa przedsiębiorstwa, organizacji partyjnej jest dażenie do tego, aby te braki usuwać, aby pracować coraz lepiej i wydajniej. Jeśli tak będziemy dalej postępować, to spełnimy zadania, jakie otrzymamy.

NIE TYLKO HISTORIA

WIEDZA O PRZESZŁOŚCI

Wyobrażano sobie niegdyś, że rozwój wiedzy historycznej polega na kumulowaniu wiedzy źródłowej, na mnożeniu konstatacji wydobytych ze źródeł. Przedstawiano sobie bowiem, że — mówiąc obrazowo — źródła „same mówią", nie zwracano zaś baczniejszej uwagi na to, że mówią one w rzeczywistości jedynie to, o co historyk je zapyta, że udzielają odpowiedzi na postawione im pytania i niczego więcej. Wielki nowator nauki historycznej Marc Bloch najzupełniej zasadnie wykpiwał jako „zdumiewająco naiwne" poglądy tych wszystkich, którzy wyobrażali sobie, że historyk jest skazany na „mechaniczne i bezkrytyczne" rejestrowanie wypowiedzi swoich „świadków". Podkreślał przy tym, że „teksty albo dokumenty archeologiczne, nawet pozornie najczytelniejsze i najbardziej zrozumiałe, odpowiadają tylko na umiejętnie zadawane im pytania". Odnosi się to również do źródeł adresowanych, powstałych w intencji przekazania informacji.

„Każde badanie historyczne — pisał dalej M. Bloch — zakłada, że poczynając już od pierwszych kroków, poszukiwania musza mieć wytknięty kierunek. Na początku jest myśl. Nigdy w żadnej nauce bierna obserwacja — nawet gdybyśmy przyjęli, że taka jest możliwa — nie wydała owoców".

W poznaniu naukowym najbardziej zasadnicze znaczenie posiada postawienie pytania, wagę owego pytania rewaloryzuje współcześnie marksistowska epistemologia, akcentująca aktywną rolę poznającego podmiotu w procesie poznawczym, równie w historii, jak i w innych dyscyplinach naukowych.

Uznanie aktywnego charakteru poznania historycznego pociąga za sobą ważkie konsekwencje dla rozumienia tak podstawowego pojęcia nauki historycznej, jakim jest pojęcie źródła historycznego. W naukowej literaturze nadzwyczaj często spotykamy się z głosami stanowczego protestu, kiedy jakiś historyk wypowie pogląd, że źródło historyczne jest konstrukcją historyka. Zazwyczaj tego rodzaju pogląd kwalifikuje się jako zaprzeczenie obiektywnego charakteru źródła historycznego, a co za tym idzie i **„obiektywnego istnienia przeszłości"**. Jednocześnie uznaje się za w pełni uzasadniony i rzekomo przeciwstawny zdaniu o źródle, jako konstrukcji badacza pogląd o **„obiektywnym, niezależnym od poznania badacza charakterze źródła historycznego"**.

W moim przekonaniu zachodzą tu istotne nieporozumienia, związane z jednostronnym rozumieniem naukowego poznania w historii. Nie ukrywam, że przyjmuję rozumienie źródła historycznego jako podstawowej dla historycznego poznania jego kategorii i konstrukcji historyka, ale nie potrafię doszukać się w tym twierdzeniu ani poznawczego subiektywizmu, ani subiektywizmu ontologicznego. Obiektywnie istniała przeszłość, istnieją zaś dziś rzeczy wytworzone przez ludzkość w procesie dziejowym. Trudno z góry powiedzieć, choć tak właśnie nieraz się czyni, które z nich są, a które nie są źródłami historycznymi. Wszystko, co może historykowi udzielić informacji, jest potencjalnie historycznym źródłem. Materialny ślad przeszłości staje się źródłem w sensie efektywnym (w terminologii, zaproponowanej przez Jerzego Topolskiego), to znaczy źródłem w pełnym znaczeniu tego słowa, dopiero na skutek interwencji historyka. W tym właśnie sensie z obiektywnie istniejących rzeczy historyk „stwarza" czy też „konstruuje" swoje historyczne źródła; są one jego konstrukcjami — ale przecież nie z niczego — ponieważ on to nadał im znaczenie źródeł. Takie pojmowanie historycznego źródła, w naszym przekonaniu dialektycznie i dynamicznie, nie ma nic wspólnego z negowaniem obiektywnego charakteru poznania, ani z zaprzeczaniem obiektywnego istnienia dziejowej rzeczywistości. Natomiast upieranie się przy zdaniu, że źródło pełni swoją funkcję źródła w nauce jakoby absolutnie „niezależnie" od badacza, jest w naszym przekonaniu niebezpiecznym dla rozwoju nauki reliktem uproszczonego, mechanistycznego i antydialektycznego rozumienia procesów poznawczych.

Rozwoju nauki nie sposób wyobrażać sobie jako bezustannego ponawiania tych samych, postawionych już niegdyś pytań w stosunku do rozszerzającego się nieraz niezmiernie powoli zasobu źródeł. Trudno odmówić tu racji francuskiemu historykowi i metodologowi Henri-Irenee Marrou, kiedy powiada on, że nauka historyczna „nie rozwija się jedynie ani przede wszystkim przez akumulację (coraz to większą ilość tego samego rodzaju dokumentacji, zgromadzonej podług tego samego kwestionariusza); zna ona również rewolucje i czyni skok w przód, kiedy powstaje nowa historyczna szkoła, ożywiona nowym duchem i wskutek tego pociągająca za sobą stawianie przeszłości nowych pytań, co prowadzi do wykorzystania w całkiem nowy sposób znajdujących się w naszym posiadaniu dokumentów, lub do odnalezienia i podniesienia do godności źródeł historycznych całej kategorii dotąd nie zauważanych śladów przeszłości".

Niewątpliwie prace historyczne, która ograniczają się do powtarzania już wcześniej postawionych pytań tyle, że w stosunku do innego materiału źródłowego, zawsze istniały w historiografii i nie odczuwamy bynajmniej ich braku również i dzisiaj. Nie bez powodu słyszy się narzekania na nadmiar prac historycznych, wprawdzie nieraz wielce źródłowych, ale nie wnoszących do nauki niczego więcej nad jeszcze jedno potwierdzenie znanej i niekwestionowanej tezy. Jednakże nie tego rodzaju dzieła stanowią o rozwoju nauki historycznej. Zgadzamy się w pełni z J. Topolskim, kiedy powiada on, że „z dawnych źródeł wydobędziemy więcej informacji tylko pod tym warunkiem, gdy potrafimy się o nie zapytać. Zmienić zaś tradycyjne kody pytań można będzie tylko w oparciu o zasadnicza zmianę struktury wiedzy pozaźródłowej".

ANDRZEJ F. GRABSKI

MYCIE PO KĄPIELI

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

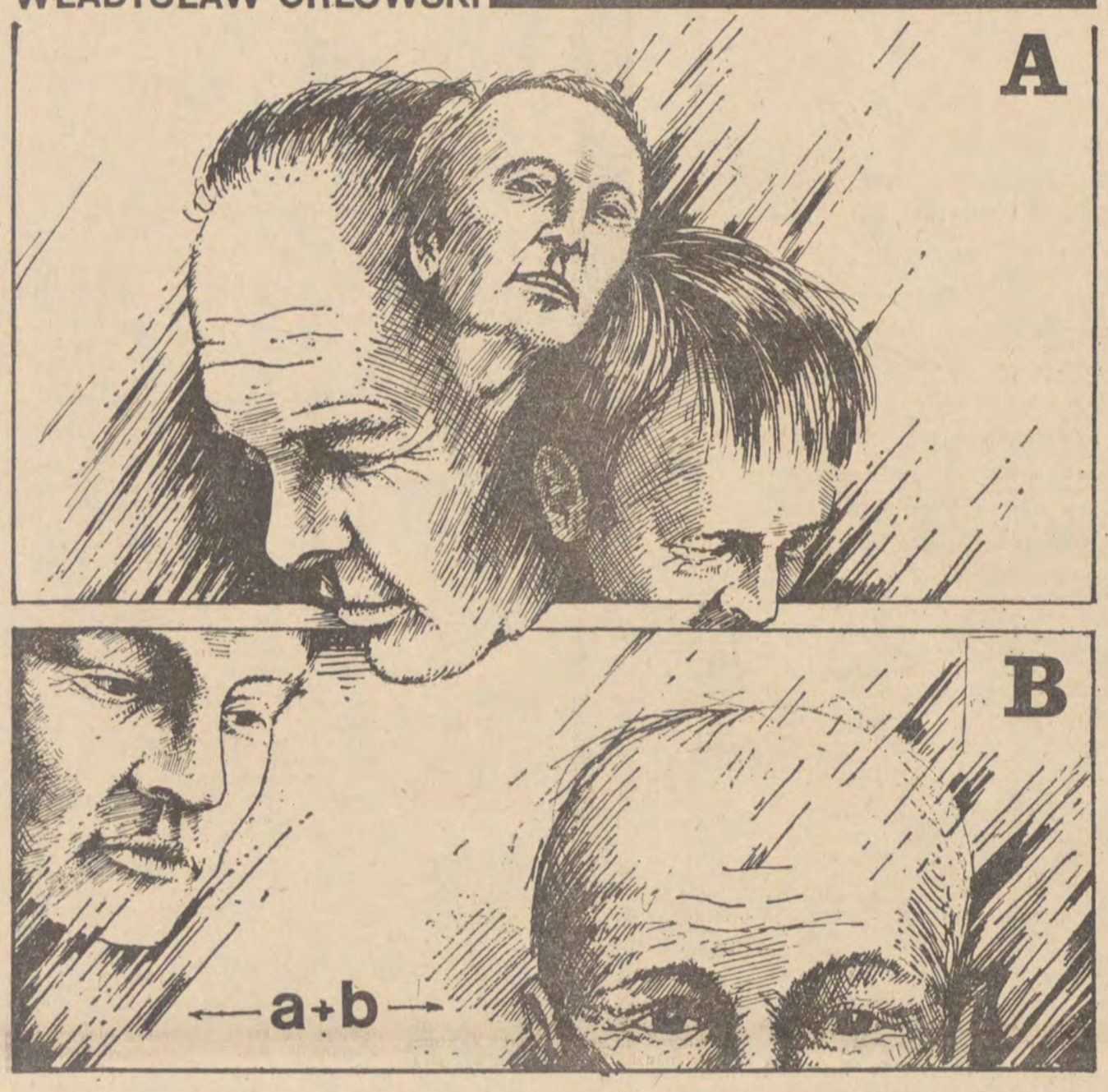

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Siostra Sigma wchodzi do pokoju, w którym leżymy, i mówi:

— Przygotujcie się, chłopcy, zaraz będzie obchód lekarski.

Zachowuje przy tym powagę siostry oddziałowej w szpitalu z prawdziwego zdarzenia. A tu wszystko nie tak. Bo nasz szpital, to nie szpital, tylko opuszczone przez lokatorów mieszkanie w ocalałej kamienicy przy ulicy Pańskiej. I siostra Sigma nie jest pielęgniarką, tylko poetką, absolwentką tajnego uniwersytetu, za to bez ukończonych kursów sanitarnych. Zapowiadany lekarz, to nie lekarz, lecz student piątego roku medycyny. I obchodu nie będzie, bo cóż to za obchód, kiedy nas tu leży tylko trzech! Takie już jest to nasze powstanie, nasza próba przyspieszenia biegu historii. Od chwili wybuchu, czyli od piątej po południu pierwszego sierpnia, nic nie dzieje się tak jak nam zapowiadano.

Jest jednak coś, co weryfikuje przecież szpitalny charakter pomieszczenia, w którym się znajdujemy. To nasze rany. Te są autentyczne, prawidłowe, poniesione w walce i nie skąpiące nam bólu. Moja goi się już na szczęście i właśnie dlatego oczekuję dziś z napięciem przybycia naszego lekarza-nielekarza. Pojawia się niemal natychmiast po szumnym anonsie wygłoszonym przez Sigmę. Jakby czaił się za drzwiami. Choć moje łóżko stoi najbliżej, doktor rozpoczyna oględziny od drugiego końca. Narażając na ciężką próbę moją cierpliwość, bada tamtych dwóch długo i starannie. Raz po raz wydaje siostrze półgłosem dyspozycje, czyni to z namysłem, choć wiadomo wszystkim, że ze środków farmaceutycznych szpital posiada niemal wyłącznie calium hipermanganicum do przemywania ran. Sigma angażuje się w pełni w tę grę, notując sobie szczegółowo ordynacje lekarza. Wreszcie podchodzą do mojego łóżka.

— No, co z wami, podchorąży? — zapytuje mnie doktor.

Jest to pytanie czysto retoryczne. Jak się ma wszystkiego trzech rannych, to się dobrze wie, co któremu dolega i jaki jest jego aktualny stan.

— Wszystko w porządku, panie doktorze — odpowiadam mimo to tonem, jakim powinienem się odezwać w tych okolicznościach.

— A no zobaczymy. — Zrywa plastry, którymi przytwierdzony jest do mego policzka opatrunek. — Taaak, zrasta się bardzo ładnie. Nawet nie będziecie zeszpeceni. Zresztą blizny zdobyte w obronie ojczyzny nigdy nie szpecą. Prawda, siostro?

Sigma nie utrzymuje się w tym miejscu w ryzach należnej powagi i szepce z nadmierną szczerością:

— Nie wiem. Mnie się on i tak podoba.

Doktor posyła jej spojrzenie pełne wyrzutu — swoim wyskokiem zmąciła rytuał — po czym każe nałożyć mi świeży opatrunek.

— Mieliście szczęście, podchorąży. Oko było tak blisko!

Na przestrzeni dwóch tygodni mej kuracji powtarzał mi to już nie raz i nie mam co do tego żadnych wątpliwości, że dopisało mi szczęście. Nie tego refrenu, a czego innego oczekiwałem dzisiaj od doktora. Jestem więc bardzo rozczarowany, gdy ten uważa obchód za zakończony i rusza ku drzwiom.

— Panie doktorze! — wołam, podrywając się na łóżku.

— Co jeszcze? — zatrzymuje się w drzwiach.

— Proszę o wypisanie mnie ze szpitala. Chcę wrócić do akcji.

— Uważam to za przedwczesne.

— Panie doktorze, proszę! Ja już nie uleżę ani dnia w tych betach!

Doktorowi jest wyraźnie żal rozstawać się z jedną trzecią stanu rannych w swoim szpitalu. W jego oczach mogę odczytać adresowany do mnie zarzut niewdzięczności.

— Powinniście jeszcze nabrać sił — mówi, ale bez przekonania.

— Czuję się znakomicie. Sigma... To jest siostra Sigma świadkiem, że już swobodnie chodzę po pokoju.

— Okres rekonwalescencji jeszcze się nie zakończył — upiera się doktor.

— Panie doktorze, jakaż tu rekonwalescencja? Jeść nie ma co. W akcji prędzej się coś skombinuje. A sztukasy bombardują wszędzie jednakowo.

— Skoro obstajecie, to powiedzmy tak: dziś wolno wam przejść się trochę po mieście, ale gdyby się wam zrobiło słabo, natychmiast wracać. No, a jeżeli będziecie się czuli dobrze, to od jutra wracajcie do akcji. W porządku?

— Bardzo dziękuję, panie doktorze — wołam radośnie i wyskakuję z łóżka. Doktor wychodzi wraz z Sigmą do drugiego pokoju, który służy za ambulatorium. Mam już gotowy plan: pójdę do łaźni. Mówiono mi, że jest czynna na Nowym Świecie przy Traugutta. Sigma i jej zmienniczka, siostra Marta, robią wprawdzie wszystko, żeby zapewnić nam higienę, ale jakież to mycie w misce!

Po kwadransie gotów do wyjścia wkraczam do ambulatorium. Sigma jest sama, doktor poszedł na odprawę w komendzie batalionu. Na mój widok dziewczyna zrywa się z krzesła.

— Już wychodzisz?

— Jak widzisz.

— Bądź ostrożny, proszę cię, Ster!

„Ster" to moje pseudo konspiracyjne. Brzmi dość dziwacznie, gdy ktoś do mnie w ten sposób zwraca się w potocznej rozmowie, ale skonstruowałem je sobie z dwóch ostatnich i dwóch pierwszych liter mego prawdziwego imienia „Ernest" i jestem dumny ze swej pomysłowości.

— Będę się starał, Sigmo. W miarę obiektywnych możliwości.

Sigma podchodzi do mnie i pod pretekstem poprawienia na mojej szyi zielonej apaszki, będącej kiedyś cząstką konchy amerykańskiego spadochronu, obejmuje mnie i przywiera całym ciałem. Czuję przez bluzę jej okrągłe, twarde piersi.

— Pocałuj mnie, Ster — szepce.

Spełniam jej prośbę bez szczególnego entuzjazmu. Nie dlatego, żeby mi się nie podobała. To ładna i miła dziewczyna, ale nieco natrętna w okazywaniu mi swoich uczuć. Także z tych względów zadowolony jestem, że wypisują mnie ze szpitala. Delikatnie, żeby jej nie urazić oswobadzam się z uścisku.

Nie rób zbyt długiego spaceru jak na pierwszy raz — upomina mnie z mieszaniną czułości i profesjonalnej troski.

— Idę do łaźni. Nie bój się, nie utopię się w wannie.

— Ale to bardzo daleko.

Obiecuję jej, że zawrócę, gdybym się nie czuł na siłach dojść.

— I pamiętaj, z „małej" PASTy pruje szkop-gołębiarz. Paraliżuje ruch w całej okolicy. Położył już kilkadziesiąt osób.

— Ze mną mu się nie uda. Umiem się kryć.

Wreszcie wydostaję się na wolność. Wita mnie słoneczny, ciepły dzień, jakich nie brakuje w końcu sierpnia. Jak cicho! Gdyby nie kikuty zbombardowanych i wypalonych domów, można by pomyśleć, że powstania w ogóle nie było. Co jakiś czas zagruchocze pojedyncza seria z kaemu, ale tego nie brakowało w Warszawie i przed powstaniem. Nie mogę jednak cieszyć się słońcem. Strzelec wyborowy na szczycie PASTy czuwa. Odbywam więc drogę piwnicami, między którymi w szczytowych ścianach wykuto otwory komunikacyjne, tworząc pod miastem rozgałęzione, wielokilometrowe traty podziemne. Tylko od czasu do czasu muszę przeskakiwać górą przecznice. Robię to szybko, by nie dać gołębiarzowi czasu na złożenie się do strzału. Pies z nim tańcował!

Droga do Nowego Światu zabiera mi około godziny. Przebiegam wykopem na wschodnią stronę ulicy i już jestem w łaźni. O wannie nie ma co marzyć, a i na prysznic muszę czekać w kolejce dobre pół godziny. Wreszcie wystawiam z rozkoszą wychudzone członki pod strumień gorącej wody. Ile to czasu upłynęło od ostatniego przyzwoitego mycia? Prawie miesiąc. W tym stanie ducha nie przeszkadza mi nawet zbyt wysoka temperatura kąpieli. Zużywam całkowicie kawałek mydła, który wetknęła mi na odchodnym Sigma. — Jestem czyyysty, jestem wreszcie czyyystyyy! — wyśpiewuję na cały głos jak arię operową. W odpowiedzi niecierpliwe pukanie do kabiny. Kończą się chwile pełnego szczęścia. Nacieram włochatym ręcznikiem ciało tak mocno, że przypominam raka na półmisku. Wciągam na siebie czysto wypraną bieliznę (ta Sigma! o wszystkim pomyślała!) i wyskakuję z kabiny z butami i wierzchnim ubraniem w ręku, by prędzej ustąpić miejsca kolejnemu szczęśliwcowi. Ten rzuca mi w przejściu z urazą: Śpiewak norymberski! — Widocznie znacznie przeholowałem w czasie. — Nie gadam z brudasami! — wołam za nim wesoło i po chwili opuszczam ten rajski zakątek.

Powrót na Pańską przebiega zrazu bez komplikacji. Wokoło panuje spokój. Gdy przecinam Marszałkowską, czuję się już prawie jak w domu. Daję znowu nura w podziemne chodniki. Zbliżam się do którejś z przecznic, nie orientuję się dobrze której, bo w tym piwnicznym kretowisku trudno się rozeznać. Schody prowadzące na powierzchnię ziemi zapełniają się nagle ludźmi. Kobiety, dzieci, starsi mężczyźni Skąd ich się naraz tyle wzięło? W dodatku cały ten tłumek zdąża w pośpiechu w przeciwnym kierunku niż ja. Z trudem przebijam się pod prąd przez tę ruchliwą masę. Moim wysiłkom towarzyszą nieżyczliwe spojrzenia i sarkania. Docieram wreszcie do otworu drzwiowego, przez który wdziera się do piwnicy światło słoneczne. Tu jednak zatrzymuje mnie chłopak mniej więcej w moim wieku, w zdobycznej „panterce" i hełmie Wehrmachtu, ze stenem przewieszonym przez pierś:

— Dokąd to, kolego? — pyta.

— Na Pańską, do swojej jednostki.

— No, to zaczekasz.

— Dlaczego?

— Nie słyszysz, że nalot?

Nastawiam ucha. Istotnie dociera do mnie nagłaśniający się pomruk. Junkersy.

— Może zdążę przeskoczyć — mówię. — Zależy mi na czasie.

— Chcesz, to próbuj — odpowiada tamten grzecznie, jak na lekcji angielskiego u metodystów. — Ale pamiętaj, że zostałeś ostrzeżony.

Zdejmuje rękę z mojego ramienia i przywiera do muru, robiąc mi przejście. Wyskakuję z piwnicy i znajduję się w bramie domu, który mocno musiał ucierpieć w ostatnich dniach od detonacji bomb lub od podmuchu przy eksplozji „krów" (tak nazywamy miny powietrzne). Teraz brzękliwy warkot nadlatujących samolotów zmienia się w ogłuszający ryk. Do bramy, w której się zatrzymałem, wpada z ulicy jakiś chłopak. Tulimy się obaj do muru, szukając schronienia. W chwilę później w uszy wwierca się przeraźliwy wizg pikujących sztukasów. Prawie równocześnie z tą torturą eksplodują pierwsze bomby. Ziemia zaczyna mi usuwać się spod nóg. Przewracam się zdmuchnięty z nóg, czy może padam świadomie — nie wiem. Wokół słychać łoskot walących się domów. Ze sklepienia bramy sypie się tynk i gruz. Jeszcze jedna detonacja i nagle robi się ciemno jak w nocy. Nie widzę dosłownie nic, z trudem łapię krótki oddech. Czyżbym był zasypany żywcem? Z oddali, a może z bardzo bliska dobiega mnie jęk, czy też okrzyk. Coś ciężkiego wali mi się na nogi, czuję ból. Próbuję się oswobodzić, ale ciężar, który legł na moich nogach, nie puszcza. To koniec — myślę i zaczynam się modlić. — Zdrowaś Mario, łaskiś pełna... łaskiś pełna... łaskiś pełna — powtarzam w myśli, nie mogąc wyjść poza te dwa słowa. Dopada mnie paniczny strach. Może pomogłoby mi, gdybym mógł krzyczeć, wzywać pomocy, ale nie jestem w stanie dobyć głosu. W stanie skrajnego napięcia słyszę chrzęst gruzu. Ktoś porusza się niedaleko mnie. Znów cisza. Czyżby to było złudzenie? Ale nie. Teraz tuż obok siebie słyszę głos:

— Jesteś tu, kolego?

— Jestem.

— Nie oberwałeś?

— Nie wiem. Może mam pogruchotane nogi.

— Zaraz zobaczymy.

— Czy jesteśmy zasypani? — pytam.

— Coś ty! To tylko kurz. Zaraz zacznie opadać. Grzmotnęło gdzieś niedaleko.

Rzeczywiście, ciemność przestaje być taka nieprzenikniona. Dostrzegam własne dłonie, a potem zarys podczołgującej się ku mnie po gruzie postaci.

— Czekaj. Zaraz zobaczymy, co tam z twoimi nogami, koleś — mówi tamten i robi mi się odrobinę raźniej. Teraz widzę już koło siebie jego twarz, choć jeszcze nie mogę rozróżnić rysów. Przesuwa się w stronę moich nóg i zaczyna się z czymś mocować. — Spadła ci na nogi taka solidna pecyna z muru — słyszę jego głos. — Ciężka bestia. — Wydaje stęknięcie i balast z moich nóg ustępuje. — Spróbuj ruszyć palcami. — Próbuję. Obmacuję kostki i golenie, wydają się całe. Dopiero przy dotknięciu prawego kolana wydaję syk bólu.

— Chyba jestem ranny — informuję swego wybawcę.

— Gdzie? Pokaż.

Odwijam z jego pomocą nogawkę spodni, czuję na palcach lepką krew.

— To nie rana — jego głos brzmi uspokajająco. — Masz stłuczone do krwi kolano. Jeśli kości całe, to śmiej się z tego.

Tymczasem pył już osiadł i do bramy wdziera się jak po zaćmieniu blask słońca. Spoglądamy na siebie i wybuchamy śmiechem. On wygląda, jakby się wytarzał w mące, ja zapewne tak samo. Włosy, brwi, rzęsy — wszystko białe, jak u albinosa.

— Grunt, żeśmy wyszli cało, chłopie. Zaraz ci zabandażuję tę twoją girę i sprawa załatwiona. Jak się nazywasz? — pyta, rozdarłszy płócienny futerał opatrunku osobistego i przystępując do przewiązywania mi kolana.

— Ster.

— Zostaw tę zabawę w pseudonimy! Jak masz na imię?

— Ernest.

— A ja Sławek. Słowomir. Grabula.

Ściskamy sobie ręce, jacyś bliscy sobie, jak Robinson i Piętaszek, sami wśród pustyni gruzu. Przy okazji dostrzegam na jego rękawie czerwoną opaskę. Przez warstwę pyłu przeświecają czytelnie dwie grubo wymalowane farbą czy tuszem litery: AL. Zauważył moje odkrycie.

— Co? Zląkłeś się komunisty?

— Skąd!

— No, nie mów! Straszą was nami, jak małe dzieci Babą Jagą. Jak widzisz, nie taki diabeł... Czekaj, spróbuję cię trochę otrzepać, a potem ty mnie. Dobra?

Podczas, gdy on wali mnie w plecy i ramiona, podnosząc chmury kurzu, ja wykasłuję i wypluwam pył, który zamulił mi usta i gardło. Potem rozpinam kołnierz swego munduru granatowego policjanta (zdobyczny w magazynach na Ciepłej), próbuję oczyścić kark i szyję. Wyślizguje mi się przy tym na zewnątrz medalik poświęcony przez Piusa XI — pamiątka z pierwszej komunii i bierzmowania. Nie rozstaję się z nim jak z amuletem, który ma mnie szczęśliwie wyprowadzić z warszawskiego kotła. Ponadto, żeby zaskarbić sobie niebieską protekcję i ocalenie, ślubowałem nie tknąć do końca powstania żadnej dziewczyny. To z tego w gruncie rzeczy powodu tak bronię się przed Sigmą, która nieświadomie odgrywa w stosunku do mnie rolę żony Putyfara. Szybkim ruchem chowam medalik pod mundur, w nadziei, że Sławek tego nie zauważy. Zauważył.

— Nie wstydź się, bracie. Jesteś wierzący, to twoja prywatna sprawa.

— A twój stosunek do religii?

— Uważam ją za opium dla narodów.

— Opium dla narodów? Sam to wymyśliłeś?

Odpowiada mi śmiechem. Czuję się tym dotknięty.

— Nie znam się na tych twoich marksistach, ale to nie powód, żebyś mnie traktował protekcjonalnie.

On natychmiast poważnieje.

— Nigdy nie lekceważę cudzych poglądów. Roześmiałem się, boś chciał mi przypisać autorstwo tych słynnych słów... Nie jesteś głodny?

Jestem. Oczywiście, że jestem, ale certuję się, gdy Sławek dobywa z mapnika kromkę chleba i dzieli ją uważnie na połowę. Przysiedliśmy na schodkach prowadzących z bramy do portierki i zagryzamy chleb, maczając go w cukrze, który Sławek miał także w torbie. Uczta!

Kończymy i wymieniamy uścisk dłoni. Rozchodzimy się w przeciwnych kierunkach, on zmierza na Powiśle. Bez trudu docieram już do szpitalika na Pańskiej. Sigma w pierwszej chwili mnie nie poznaje, później załamuje ręce.

— Bój się Boga, Ster! Gdzie cię tak urządzili?

— Wracam z łaźni — odpowiadam. Daj szybko miskę i trochę wody, muszę się umyć!

(fragment powieści przygotowywanej dla Wydawnictwa Łódzkiego)

ŁÓDŹ 77

PEJZAŻE

Dalszy ciąg ze str. 1

wypożyczalni, której pani Melania dała nazwę „Lektura", nie zamykały się.

W głosie Starego wyczuwam żal, że tej wypożyczalni już nie ma. Mnie jest również przykro. Byłem częstym gościem w domu pani Melanii. Był to niski, parterowy domek, zbudowany z drewna, pokryty wysokim, spadzistym dachem. Na poddaszu była facjatka. Podobne domy można jeszcze spotkać na Widzewie.

Nie ma więc tej wypożyczalni. Nie ma sklepików, które rozmieściły się w takich samych drewnianych domkach wzdłuż ulicy Głównej. I nie ma owego klimatu, który charakteryzuje dzielnicę handlową, owych sprzedawców, którzy czekają na klientów, zabieganych ludzi, wozów wyładowanych towarami.

Trudno jest rozpoznać w dzisiejszym obrazie dawne barwy i wzruczesna. Rosła tu trawa i różne chwa- Wzbogacają nasze spojrzenie. Znałem przez wiele lat starego zecera, nazywał się Pander, który drukował łódzkie gazety. Był to człowiek inteligentny i oczytany. Dobry fachowiec i bezlitosny dla redaktorów, u których odkrywał rozmaite braki. Mówił bardzo głośno, słychać go było w całej zecerni. Mieszkał przy ulicy Zakątnej. Spotykaliśmy się czasami na rogu Mickiewicza i Kościuszki, kiedy wracał z drukarni. Lubił tę trasę. Pochylał się nade mną, brał mnie za klapy marynarki i niemal krzyczał:

— Panie, tu jeszcze niedawno, na Kościuszki, było szczere pole!

Rozmowy swoje zaczynał od przypomnienia tego pola. Kiedy przechodzę alejami, przypomina mi się postać starego zecera, widzę fragment ulicy od Mickiewicza (ówczesnej Bandurskiego) do Żwirki. Nie było jeszcze gmachu Komitetu Łódzkiego, ani domów po przeciwnej stronie, gdzie mieści się Księgarnia Współczesna. Rosła tu trawa i różne chwasty. Chodziliśmy przez to pole, skracając sobie drogę do drukarni „Czytelnika", która znajdowała się przy ulicy Żwirki 2. Później drukarnię przeniesiono do gmachów na ulicę Gdańską.

Dzisiaj ten fragment ulicy należy do najbardziej nowoczesnych w Łodzi. Z każdym dniem krajobraz tu się zmienia. Za domami, które wyrosły przy alei Kościuszki, rysują się wieżowce Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. Gdyby ten pejzaż mógł zobaczyć Pander. Niestety, nie ma już starego zecera. Umarł przed kilku laty.

Sąsiadem Pandera w tej samej kamienicy był były major Wojska Polskiego — Franciszek Ruszar. On także nie żyje. Umarł przed rokiem. Walczył w kampanii wrześniowej. Lata wojny spędził w obozach jenieckich. Został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari. Był wielkim miłośnikiem historii i literatury. Rozumiał czasy, które nadeszły. Należał do tego gatunku ludzi, o których się powiada, że mają otwarte serce do wszystkiego, co dobre i piękne. Wolne chwile poświęcał malarstwu. Brał udział w wystawach, które organizowano dla plastyków amatorów. Zostawił między innymi obraz, przedstawiający fragment ogrodu, który rósł przy jego domu. Dzisiaj już tego ogrodu nie ma, na jego miejscu wybudowano pawilony Instytutu Włókien Sztucznych. Patrzę na obraz Ruszara, widzę na nim jabłonie i grusze, korony drzew kołyszą się na wietrze, widzę stare lipy, z boku stoi sztywno, jakby wycięty ze srebrnego papieru kanadyjski świerk, takich świerków było w tym ogrodzie kilka. Rosły tu też klony i bzy, hodowano róże. Mieszkańcy dzielili się plonami drzew owocowych, odpoczywali w cieniu lip. Ogród rozwiązywał wiele problemów, wychowawczych także. Stanowił doskonały azyl dla młodzieży. Wnuczki Ruszara wychowały się w tym ogrodzie. Pewnego dnia, jak w powieści Kawalca, zjawili się ludzie, uzbrojeni w piły i siekiery, wycięli drzewa, pousuwali róże, zaczęli kopać doły pod fundamenty. Mieszkańcy domu protestowali, sprzeciwiali się Pander i Ruszar, ale cóż znaczyły te protesty wobec racji, które wysuwał instytut. Ile razy przychodzę na to okaleczone podwórko, odgrodzone murem od instytutu, żal ściska serce. Stary major nie mógł odżałować ogrodu, mówił, że instytut zabrał wszystko, co mógł.

Rozumiem rozterki ludzi, którzy żyją na granicy dwóch epok. Jeszcze ich niepokoją pozostałości jednej, a do drugiej się nie przyzwyczaili. Nasze rozbudowujące się miasto jest ilustracją tych konfliktów i sprzeczności. Ile tajemnic tego rodzaju kryje w sobie trasa Wschód — Zachód, która pobiegnie od Retkini przez park Poniatowskiego, wpadnie w tunel pod ulicą Żeromskiego i (darujmy sobie tę przenośnię) poszybuje ulicami Mickiewicza, Główną, rozkopany teraz plac Zwycięstwa, ulicą Armii Czerwonej aż do nowego osiedla Widzew — Wschód.

Łódź rozrasta się na przedmieściach i w śródmieściu. Budujemy nowe pejzaże, ma rację pisarz, kiedy mówi, że te przedmioty i te okolice, których obraz i pamięć tkwi w nas samych, zmieniają się wraz z nami. Może skargi ludzi, którzy żalą się, że wycina im się drzewa, za kilka lat będą w naszym odczuciu tak samo zetlałe jak wspomnienie polnego odcinka alei Kościuszki z roku 1945? Albo jak zmurszałe akta z procesów, które w ubiegłym wieku wytaczali mieszkańcy ulicy Wólczańskiej przeciw magistratowi miasta Łodzi, który zabiera im grunta — gdzie rosła pszenica i pasły się krowy — pod budowę nowej fabryki?

Ale nie wolno odrywać nowych pejzaży od barwy „tamtego" czasu. Tylko w ten sposób można je „moralnie kwalifikować". Stary elektryk, który mieszka na Księżym Młynie, zwierzał się, że swoim dzieciom wciąż opowiada o historii tego osiedla.

Foto: E. Kudaj

— Inaczej byliby jak liście zerwane z drzewa. Księży Młyn jest perłą Widzewa — powiada Stary.

Księży Młyn uznano za zabytek. W Biurze Badań Dokumentacji i Zabytków myśli się o skansenie i ochronie terenu bezpośrednio przyległego, a nawet całości rejonu w obrębie placu Zwycięstwa (placu właściwie dzisiaj już nie ma; poprzez wyburzenie domów od ulicy Głównej, połączył się z tą ulicą i stanowi jakby jej przedłużenie), ulicy Targowej, 8 Marca, Przędzalnianej. Na tym terenie znajdują się liczne obiekty, które należałoby otoczyć opieką, jak dawny pałac Karola Scheiblera, park Źródliska (jest tam unikalny drzewostan!), dawny pałac Herbsta, w którym planuje się zorganizowanie Muzeum Wnętrz XIX wieku. Ale czy nazwa skansen byłaby tu właściwa?

Prof. Wojciech Kalinowski z Instytutu Historii Kultury Materialnej Polskiej Akademii Nauk opowiada się raczej za nazwą „rezerwatu architektonicznego" lub „Muzeum Budownictwa Robotniczego". Profesor jest zdania, że należy zachować starą formę osiedla w nie zmienionym kształcie przestrzennym. Podobne przykłady budownictwa znajdujemy w Anglii. Księży Młyn jest przede wszystkim dokumentem rodzimej kultury robotniczej i w tym leży jego znaczenie dla naszego społeczeństwa.

Czy więc będzie to muzeum? Czy jak proponuje prof. Bohdan Baranowski osiedle zostanie wykorzystane dla celów turystycznych? Podobny pogląd wypowiada inny znawca zagadnienia dr Irena Popławska z Uniwersytetu Łódzkiego, która opowiada się za utrzymaniem funkcji mieszkalnej osiedla.

Jeden z dokumentów II Międzynarodowego Kongresu Architektów i Techników Zabytków mówi:

„Konserwacji zabytków zawsze sprzyja ich użytkowanie na cele użytecznie społeczne; użytkowanie takie jest zatem pożądane, nie może wszakże pociągać za sobą zmian układu bądź wystroju budowli. Są to granice, w jakich należy pojmować i można dopuszczać zagospodarowanie, wymagane przez ewolucję zwyczajów i obyczajów".

A inny artykuł tego dokumentu:

„Zabytek jest nierozdzielny od historii, której jest świadectwem i od otoczenia, w którym jest położony".

Notuję te opinie dlatego, aby na przykładzie Księżego Młyna, obok którego przebiega trasa W — Z, powiedzieć, że w Łodzi są ludzie, którzy budując nowe, nie chcą niszczyć starych pamiątek. Dotyczy to zarówno rzeczy wielkich, jak i małych. Zabytkowej kraty i całego osiedla. A także pojedynczego drzewa. Bo zdarzało się po wojnie, że wyrywano stare, piękne ogrodzenia, dzieła mistrzów — rzemieślników, niszczono bramy pod pozorem udostępnienia parków i zieleńców wszystkim mieszkańcom miasta. I kaleczono drzewa.

Jeszcze do niedawna najdalej na wschód wysuniętymi ulicami Widzewa były Przetwórcza i Gromadzka. Byliśmy ze Starym na Gromadzkiej. Ulica wybrukowana „kocimi łbami". Domki drewniane. Przed rozwalonym płotem, na ulicy, siedzi pies. Patrzy leniwo na przechodzących. W otwartym oknie spoza pelargonii wychyla głowę szary kot. Jakiś dziadek wygrzewa się na słońcu. Przyjmuje nas obojętnie. A może tylko udaje? W pewnej chwili na środku ulicy pojawia się drzewo. Omijamy to drzewo, droga nagle niknie, jakby jej w ogóle nie było. Dalej już nic nie ma. Pejzaż smutny. Czy to wieś? Czy przedmieście?

Podobne widoki na Przetwórczej. Tylko, że z perspektywy tej ulicy widać budynki nowego osiedla. Pojawiają się tak nagle, że jesteśmy zaskoczeni. Jakby nas przeniesiono w inny i nieznany świat. Niektórzy z Gromadzkiej i Przetwórczej marzą o tym, aby tam zamieszkać. Dla niektórych jest to bardzo daleka droga. Są i tacy, którzy przywykli do swojego domu, nie wiedzą, że można mieszkać inaczej. Niechętnie przyjmują naszą obecność.

Mam przed sobą wywiady, jakie przeprowadzili uczniowie Szkoły Podstawowej nr 114 wśród mieszkańców Widzewa, przeważnie wśród tych, którzy mieszkają w starych domach, bez wygód i oczekują na przydział nowego mieszkania. Szkoła ta została wybudowana w 1961 roku. Początkowo służyła podmiejskim uliczkom i najbliższym wioskom. Dzisiaj obsługuje nowe osiedle.

Oto jedna z wypowiedzi:

„Nazywam się Alina Klażyńska. Mieszkam we własnym domku przy ulicy Nowy Świat 55. Dom, w którym mieszkam, jest drewniany, pozbawiony wszelkich wygód. Został wybudowany w 1927 roku, czyli stoi już od 46 lat. Od roku, w którym powstał, nastąpiło [illegible] zmian i wciąż jeszcze następują. Kiedy nasz dom powstał, były tutaj wielkie pola. Nasz dom stoi wśród tych pól. Wybudowany jest na podobieństwo widzewskich domków wybudowanych przez fabrykantów. Charakteryzuje się bardzo spadzistym dachem, który był wtedy modny. W 1935 roku zaczęto budować nowe domki jednorodzinne i wielorodzinne. W bardzo szybkim tempie powstała ulica. Później zaciągnięto wodę i założono łazienki, gdyż wodę, która znajdowała się na każdej posesji, ciągnęła Anilana. Oczywiście Anilana była wtedy małym zakładem, dopiero później zaczęła się rozbudowywać. Działo się to już w latach powojennych. Jeszcze bardziej później, bo już za mojej pamięci, ułożono płyty chodnikowe. Na naszej ulicy i ulicach do niej przylegających, były dwa sklepy prywatne, jedna spółdzielnia i pasmanteria. W naszej dzielnicy znajduje się tylko jedno kino Pokój. Projektuje się wybudowanie nowego osiedla Widzew — Wschód. Osiedle to będzie bardzo nowoczesne. Wybudowane tam będą wielkie ulice. Powstanie wiele sklepów, restauracji i barów. Będą nowe, wspaniałe kina i teatry. Żeby ludzie mogli wypoczywać po pracy. Wybudowane będą baseny. Na pewno powstaną parki, żeby dzieci, które przez dziesięć miesięcy będą wśród murów, mogły się dotleniać".

Park, ogródki, baseny, wygodne domy, to marzenia, które pojawiają się we wszystkich ankietach. Czy one się spełnią? Za ulicami Gromadzką i Przetwórczą powstaje nowe osiedle. Buduje je Spółdzielnia Mieszkaniowa „Bawełna". Rozmawiałem o tym osiedlu z przedstawicielem spółdzielni — Zdzisławem Orłowskim, który zajmuje się sprawami mieszkańców. Przeglądałem kroniki osiedla. Jeszcze na polach widzewskich nie pojawiła się pierwsza koparka, a już był stworzony samorząd mieszkańców. Kiedy zaś ta koparka się pojawiła (ten fakt jest odnotowany w kronice pod datą 17. X. 1974 r.) przedstawiciele osiedla, które na razie istniało na planach, powitali operatora kwiatami. W ten sposób witano pierwszego wykonawcę, a potem pierwszych mieszkańców.

Oglądam fotografię, która została wykonana w lipcu 1975 roku, przedstawiającą wmurowanie kamienia węgielnego pod pierwszy budynek osiedla. Na uroczystości był I sekretarz KŁ PZPR — Bolesław Koperski i prezydent miasta — Jerzy Lorens. Na zdjęciu widać fragment oszalowanego wykopu, w dali na pustym polu koparkę, a na najdalszym planie las. W środku stoi samotne drzewo i jakieś krzaki. Pejzaż, którego dzisiaj nie ma. Jest tylko las, który zostanie przekształcony na park dla młodzieży.

16 lipca 1975 r. kronikarz notuje:

„Są pierwsi mieszkańcy! Rodzina pana Stanisława Lelonkiewicza wprowadziła się do mieszkania nr 14. Życzymy pomyślności".

Orłowski mówi:

— Powitano ich, jak każe nasz zwyczaj, chlebem i solą, wręczono list powitalny, odegrano sygnał osiedla.

Osiedle ma już swój sygnał, jest to wynik współpracy z radiem.

Obserwuje się na tym osiedlu narodziny nowego obyczaju. Może niektóre rzeczy spowszednieją albo umrą, zanim zdążą się zadomowić, ale mnie udziela się zapał Orłowskiego. Staliśmy przy tablicy pamiątkowej, która jest wmurowana na pierwszym budynku osiedla. Orłowski mówił:

— W naszych domach pali się ogień, który został przeniesiony z innych dzielnic miasta. Przenieśliśmy ten ogień z osiedli na Dąbrowie, z Zarzewa i z Łęczyckiej — Przędzalnianej, to są osiedla budowane przez naszą spółdzielnię. Przewodniczący tamtych rad narodowych pobrali ogień w jednym z mieszkań w każdym osiedlu, przewieźli go na ozdobnych świecach na to osiedle. Przedstawiciele samorządu Widzewa — Wschodu powitali gości przy tej tablicy. Od tamtych płomieni zapaliliśmy świecę widzewską. Zabrzmiał nasz hejnał. Przenieśliśmy ogień do jednego z mieszkań Widzewa.

W osiedlu wita się uroczyście nie tylko każdego nowego mieszkańca, ale instytucje i organizacje, które się tu wprowadzają. Powitano już załogę pierwszego supersamu spożywczego, przedszkola, poczty, przychodni lekarskiej. Wręczono dyplomy powitalne, znaczki osiedla. Organizuje się „Widzewskie jarmarki", które także służą wzajemnemu poznaniu i zbliżeniu się do siebie mieszkańców osiedla.

Poszliśmy na brzeg lasu, który ocaleje. Za lasem stoi nowa elektrociepłownia. Przed nami pejzaż, który tak jest charakterystyczny dla Łodzi. Widać białe domy osiedla, zamieszkałe już, wiem, że tamte okna należą do Marleny i Bogdana Ziółkowskich, którzy przenieśli się tutaj ze starego Widzewa, z pokoiku o powierzchni 12 m kw., bez kuchni, bez wygód. Ziółkowska opowiadała, że kiedy pojawiła się na polach pierwsza koparka, przyjechała z mężem, stali na pagórku, mąż mówił:

— Patrz, to będzie widok z naszego okna.

Rzeczywiście, ich dom stanął w tym samym miejscu i oni mają okno zwrócone na las. A tamto okno należy do Katarzyny Baranek, pracownicy zakładów Strzelczyka. Mieszkanie składa się z trzech pokoi i kuchni, jest łazienka. Dawniej zajmowała jeden pokój, nawet nie warto mówić, w jakich warunkach żyła. A tam dalej bloki jeszcze nie zamieszkałe, kończą dopiero budowę. Jeszcze dalej dźwigi, które należą już do stałych elementów naszego krajobrazu.

Osiedle się buduje. To są dopiero początki. W przyszłości będzie tu mieszkać przeszło czterdzieści tysięcy ludzi. Domy zajmą powierzchnię 253 hektarów. Ale i na tym nie koniec, dzielnica ta stanowić będzie początek nowego pasma rozwojowego w kierunku na Koluszki.

Nie wiem, czy wszystkie marzenia dzieci, które robiły wywiady z mieszkańcami Widzewa, spełnią się całkowicie. Czy powstanie dzielnica, w której znajdą wszystko, co planują niektórzy działacze osiedla i budowniczowie. Ale wiem, że na tym osiedlu powstaje coś nowego. Jakieś nowe układy pomiędzy ludźmi. Nowe obyczaje i zwyczaje, i nowy styl życia. Przeprowadzając się do nowego mieszkania, człowiek wyzwala się ze starych opłotków. Nie chodzi tylko o awans materialny, boć taki jest widoczny, kiedy człowiek zamienia gorsze na lepsze, ale o te przemiany, które zachodzą w stylu bycia, kulturze, obyczaju, zainteresowaniach. Miłość do własnego osiedla, bo takim uczuciem chcą zarazić budowniczowie mieszkańców tej dzielnicy, czy nie jest miłością do miasta, do ojczyzny? To są słowa Orłowskiego. Prawdę mówiąc, to osiedle stoi na pustkowiu. Ale kiedy tam byłem, odwiedzałem domy, rozmawiałem z ludźmi, nie odnosiłem wrażenia, że znajduję się daleko od śródmieścia. Uleciał ode mnie żal, że ulica Główna straciła swój dawny koloryt i że nie ma już na niej starej wypożyczalni książek. Na osiedlu wybuduje się nową bibliotekę.

TADEUSZ PAPIER

FILM

KAROL MARCZAK— FILMOWIEC I BIOLOG

Zmarł w wieku 75 lat Karol Marczak — nestor polskiego filmu oświatowego. Twórczość Karola Marczaka, zamknięta liczbą 63 filmów, stanowi wielki rozdział dziejów kinematografii w tym jej szczególnym nurcie, który określa udział filmu w poznawaniu świata przyrody i popularyzowaniu wiedzy o niej.

W marcu tego roku w telewizyjnym cyklu „Tajemniczy świat przyrody" w programie „Filmy Karola Marczaka" po raz ostatni ich autor wystąpił publicznie. W sierpniu obejrzymy w telewizji jeszcze jeden program poświęcony jego twórczości — będzie on nosił tytuł „Kształty i formy w filmach Karola Marczaka".

Karol Marczak — reżyser, operator, konstruktor, teoretyk i dydaktyk swój pierwszy film pt. „Kwiat paproci" zrealizował w 1933 roku, ostatni „Mikroskopia elektronowa" w 1975.

W ciągu swego niezwykle pracowitego życia uzyskał Karol Marczak 36 nagród, w większości na najpoważniejszych międzynarodowych festiwalach i kongresach. Liczba ta określa walory jego twórczości, dodajmy jeszcze, że nazwisko jego figuruje w wielu nie tylko polskich encyklopediach.

Natychmiast po zakończeniu wojny Karol Marczak wraz z żoną Martą zorganizował w Żyrardowie, gdzie pracowali już przed wojną, Ośrodek Filmów Biologicznych, przejęty później przez Instytut Filmowy. Od 1950 roku Karol Marczak pracował w Wytwórni Filmów Oświatowych, w latach 1951—1957 był kierownikiem Katedry Technik Specjalnych w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej. Był wieloletnim działaczem Polskiego Stowarzyszenia Filmu Naukowego, wykładowcą na kursach filmowych dla pracowników naukowych, autorem dwóch podręczników z zakresu technik specjalnych: „Zdjęcia makroskopowe" i „Zdjęcia mikroskopowe". Na działalności twórczej, dydaktycznej i społecznej nie kończą się prace Karola Marczaka. Mistrz filmu biologicznego w pionierskich czasach naszej kinematografii bywał też konstruktorem — i tak na przykład w 1922 roku opatentował aparat do zapisu i odtwarzania dźwięku na taśmie 35 mm, a w 1946 zmontował pierwszą w Polsce aparaturę do zdjęć mikrofilmowych. Wspominam te fakty, gdyż bez tych działań świat filmów Karola Marczaka nie byłby nam znany. Tematy i bohaterowie tych filmów wymagali ogromnego mistrzostwa w zakresie stosowania makroskopowych i mikroskopowych zdjęć filmowych, mistrzostwo to Karol Marczak osiągnął.

Filmy te reprezentują najróżniejsze odmiany gatunkowe filmu oświatowego — znajdują się wśród nich filmy naukowo-badawcze, popularnonaukowe i szkolne. W każdym z tych gatunków, poza doskonałością stosowania technik specjalnych i zdjęć trickowych i niezwykłą pomysłowością, zwracają uwagę walory metodyczne postępowania badawczego czy też samego obrazowego wykładu. Sądzić należy, że i te wartości filmów Marczaka, tak wysoko oceniane przez najróżniejszych jurorów i odbiorców, decydowały o ich klasie.

Film biologiczny, zajmujący się mikroświatem przyrody, wymaga, poza wszystkimi wspomnianymi wyżej cechami, jeszcze dwóch, które odnajdujemy w filmach Karola Marczaka — ogromnej wiedzy oraz benedyktyńskiej cierpliwości i pracowitości. Podajmy w tym miejscu tylko jeden przykład. Karol Marczak tak sam wspomina pracę nad filmem „Rozwój zarodka ptaka": „Pracowaliśmy przez półtora roku, żeby w 20-minutowym filmie pokazać przyspieszony 3000 razy proces trwający 21 dni".

O filmie tym, za który Karol Marczak uzyskał w 1957 roku międzynarodową nagrodę w Rzymie i dyplom honorowy w Amsterdamie, autorka monografii o polskim filmie oświatowym, Irena Nowak-Zaorska, napisała: „Film stanowi klasyczną filmową monografię przyrodniczą, imponuje sztuką fotografowania zjawiska bardzo trudnego do uchwycenia na taśmie filmowej. Po raz pierwszy udało się przedstawić najwcześniejszą fazę rozwoju zarodka. Pozbawiony ozdobników, a także muzyki, film pochłania jednak widza realnym ukazaniem nieznanych problemów.

Rzadko czytamy tego typu recenzje czy omówienia filmów. Przytoczyłam je, przypominając zamkniętą już dziś twórczość człowieka, który swymi filmami uczył i wzruszał, zaspokajał głód wiedzy i przeżyć w sposób inny niż czyni to tzw. wielka kinematografia. Działalność twórcza Karola Marczaka była bezcenna, czy znajdzie swych kontynuatorów?

EWA NURCZYŃSKA

HISTORIA NAJNOWSZA

EGIPT-1952

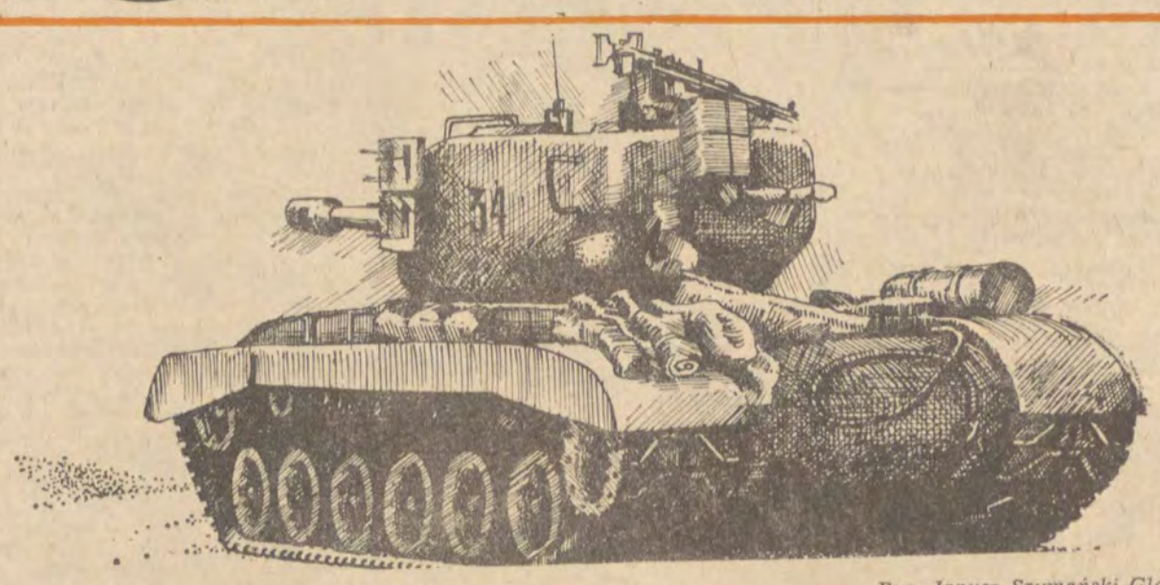

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Dalszy ciąg ze str. 1

Nagle ucichła muzyka w głośnikach radiowych. W chwilę później wszyscy usłyszeli niski baryton nieznanego mężczyzny, który przez mikrofony kairskiej rozgłośni radiowej odczytał odezwę skierowaną do narodu:

„Ludu egipski!

Egipt — skorumpowany i rozdzierany sprzecznościami wewnętrznymi — przeżywa najbardziej mroczny okres swojej historii. Elementy wrogie narodowi rozkładają od wewnątrz również armię i przyczyniły się do naszej klęski w Palestynie. Dowodzona przez głupców, zdrajców, ignorantów armia nie była zdolna obronić Egiptu. Oto, dlaczego postanowiliśmy się oczyścić: armia znalazła się obecnie w rękach ludzi zdolnych, uczciwych, patriotów. Możecie nam całkowicie zaufać..."

W ciągu zaledwie kilku chwil Kair zmienił się nie do poznania. Przechodnie, roznosiciele lemoniady, wszyscy ludzie znajdujący się na ulicach stanęli osłupiali. Niemal z każdego domu wychodzili na ulicę mężczyźni, kobiety i dzieci. Społeczeństwo w skupieniu słuchało odezwy generała Nagiba, nowego przywódcy Egiptu. Potężny okrzyk radości zgromadzonych na ulicach i placach Kairu powitał koniec przemówienia.

— Ya ich al Saourach! (Niech żyje Rewolucja).

— Ya ich Naguib! (Niech żyje Nagib!).

Następnie tłumy udały się w kierunku mostu Kubeh, na drogę prowadzącą do Heliopolis, gdzie znajdowała się kwatera główna przywódców spisku. Wszędzie rozlegały się okrzyki na ich cześć, ludzie śpiewali pieśni patriotyczne, fasady domów przybrały odświętny wygląd, balkony przystrojono zielonymi flagami. W tym samym czasie, o 200 kilometrów od stolicy, w swoim letnim pałacu w Aleksandrii król Faruk spał snem sprawiedliwego, niczego nie przeczuwając. Jak zwykle położył się spać dopiero późną nocą, po obejrzeniu najświeższych nabytków do swojej kolekcji: obrazów, rzeźb, zdjęć i książek pornograficznych. Szwagier królewski, pułkownik Sherin, mianowany kilka godzin później ministrem wojny, poprzedniego wieczora przygotował listę wszystkich oficerów podejrzanych o wrogość wobec reżimu. Faruk zalecił mu wyraźnie: „Wszystkich tych rajfurów należy zamknąć w więzieniu!".

Mimo radiowego wystąpienia generała Nagiba — który również znajdował się na liście podejrzanych — w pałacu królewskim panował jeszcze całkowity spokój. Krótko po siódmej w apartamentach władcy Egiptu zadzwonił telefon, to doktor Hafez Afifi, dyrektor gabinetu królewskiego, usiłował poinformować monarchę o ostatnich wydarzeniach. Telefon odebrał królewski kamerdyner:

— Jego Wysokość jeszcze wypoczywa...

— To jest bardzo pilne! Sytuacja jest poważna! Wybuchła rewolucja!

— Z chwilą, gdy Jego Wysokość raczy się obudzić, nie omieszkam przekazać natychmiast tej wiadomości.

Rozwścieczony Afifi rzucił słuchawkę ze słowami: **— Tym gorzej dla króla, idioci!**

Król Faruk

Faruk, ten wówczas 32-letni monarcha, przez 16 lat swego panowania zrobił wszystko, aby zrazić do siebie społeczeństwo, które darzyło go obecnie coraz większą nienawiścią. Kiedy w 1936 roku wstępował na tron, był idolem mas egipskich. Lecz w 1952 roku Faruk niewiele przypominał ubóstwianego przed laty władcę Egiptu. Smukły i przystojny wówczas młodzieniec był obecnie otyłym, nalanym grubasem o opinii pijaka, łapówkarza, karciarza i dziwkarza, przechowującego w specjalnej gablocie 50 kluczy od mieszkań różnych „kairskich piękności". O obsadzaniu stanowisk ministerialnych decydował jego fryzjer, Włoch, stały towarzysz eskapad monarchy po różnych nocnych lokalach i kabaretach. Cztery pałace Faruka, kapiące od złota i kosztowności, liczne wspaniałe wille, 250 samochodów osobowych najdroższych marek było wyzwaniem rzuconym żyjącym w skrajnej nędzy fellahom egipskim. Nikt w Egipcie nie miał prawa posiadać czerwonego samochodu, ani zielonego telefonu, które to kolory były zastrzeżone wyłącznie dla króla. Klamki u drzwi w jego pałacach były wykonane ze złota, a przełączniki do światła i dzwonków wysadzono drogimi kamieniami. Faruk posiadał także olbrzymią kolekcję numizmatyczną i filatelistyczną. Jego majątek w Egipcie, nie licząc zagranicznych lokat kapitału, szacowano na 600 milionów dolarów. Bywał stałym gościem kasyn gry w Monte Carlo i Deauville, gdzie kiedyś, w ciągu jednej nocy, przegrał 100 tysięcy dolarów. Rozwiódł się z pierwszą żoną, Faridą, bardzo szanowaną w Egipcie i ożenił się z Nariman, córką jubilera, której narzeczonego delegował do pracy przy ONZ. Z okazji uroczystości weselnych sekretariat królewski powiadomił domy panujące, iż Faruk życzy sobie, by prezenty ślubne były wyłącznie ze złota.

Nic dziwnego, iż taki skandaliczny tryb życia monarchy musiał wywoływać zarówno w Egipcie jak i w świecie głębokie oburzenie i pogardę, zwłaszcza gdy uwzględnić niezwykle niski poziom społeczno-gospodarczy kraju, powszechny analfabetyzm i zacofanie jego mieszkańców. Nic również dziwnego, iż coraz częściej miały miejsce manifestacje antyrządowe. Ferment ogarnął także armię, już wcześniej owładniętą kryzysem, będącym następstwem klęski poniesionej przez Egipt w wojnie 1948 roku. Szczególnie wyraźne oznaki fermentu dały się zauważyć wśród młodych oficerów świadomych konieczności zasadniczych zmian tak w łonie skorumpowanej armii, jak i przeprowadzenia niezbędnych reform społecznych w feudalnym jeszcze Egipcie. Grupowali się oni wokół młodego, liczącego 31 lat podpułkownika o nazwisku **Gamal Abd-el-Nasser.** Ten wysoki, dość potężnie zbudowany mężczyzna, o szczerej twarzy i serdecznym uśmiechu, wraz z kilkoma kolegami z Akademii Sztabu Generalnego stworzył jeszcze przed wybuchem II wojny światowej tajną organizację wojskową „Zobat el Ahrar".

Związek Wolnych Oficerów

Zrodziła się ta organizacja z nienawiści do Anglików, z tęsknot za niepodległością, z miłości do ojczyzny i marzeń o poprawie losu narodu egipskiego. Wśród pierwszych członków i organizatorów ruchu figurują nazwiska: **Anwara Sadata, Zakariji Muhji ad-Dina, Abd el-Hakima Amera.** Jednak czołową postacią i nie kwestionowanym przywódcą Związku jest Nasser. Organizacja podejmuje liczne działania dywersyjne przeciwko Anglikom na rzecz uzyskania przez Egipt pełnej niepodległości, później obraca swój oręż przeciw tym, którzy usiłują utrzymać kraj w zacofaniu i w zależności od obcego kapitału, to jest przeciw monarchii, sprzedajnemu rządowi i dworskiej kamaryli. Wojna arabsko-izraelska z 1948 roku i klęska Egiptu dowiodła ogromnej słabości panującego systemu, toteż głównym celem Związku staje się wówczas walka z bezprawiem władzy, korupcją, walka o społeczne i ekonomiczne wyzwolenie kraju.

Tymczasem sytuacja wewnętrzna i gospodarcza Egiptu komplikuje się coraz bardziej. Coraz liczniejsze i częstsze stają się wystąpienia antyrządowe i antyrojalistyczne organizowane m. in. przez młodzież uniwersytecką. Gwałtowny wzrost cen i powszechne bezrobocie potęgują dojrzewający kryzys. Aby odwrócić uwagę społeczeństwa od sytuacji wewnętrznej, premier Egiptu Nahhas Pasza ogłasza unieważnienie traktatu angielsko-egipskiego. W strefie Kanału Sueskiego dochodzi do zbrojnych starć z wojskami brytyjskimi. Ale rychło okazuje się, iż Nahhas się przeliczył. Rewolucyjne wrzenie jest już nie do opanowania. Na scenę polityczną wkracza natomiast armia, w której decydującą rolę odgrywają Wolni Oficerowie.

Rząd jednak nie myśli kapitulować, choć w miarę, jak walki przybierają na sile, jego pozycja słabnie. Król Faruk postanawia przy pomocy Anglików wyeliminować z gry Nahhasa, podejrzewając go o nastroje antyrojalistyczne. Kulminacyjnym momentem staje się dzień 19 stycznia 1952 roku. Tego dnia zostaje bowiem zaatakowany garnizon angielski Tell el-Kebir, strzegący największego na Bliskim Wschodzie magazynu broni i amunicji. Tydzień później w odwet za tę akcję, z rozkazu generała Erskine'a, dowódcy brytyjskich sił zbrojnych w Egipcie, Anglicy otaczają koszary policji w Ismailii, domagając się bezzwłocznie złożenia broni. Powód? — wspieranie akcji sił powstańczych.

Było to wczesnym rankiem, w piątek, 25 stycznia 1952 r. Egipski komendant koszar natychmiast zatelefonował do Kairu celem uzyskania instrukcji. Minister spraw wewnętrznych Fuad Seraj Eddin, wydaje w odpowiedzi polecenie:

— Lepiej zginąć w walce niż się poddać.

Walka trwała kilka godzin. Anglicy atakowali artylerią i czołgami. Uzbrojona głównie w broń myśliwską policja pomocnicza walczyła do chwili wyczerpania się zapasów amunicji. Bilans nierównej walki: ponad 50 zabitych i kilkuset rannych Egipcjan.

Nazajutrz, w sobotę, 26 stycznia 1952 r. w Kairze wybuchają zamieszki. Nastroje antymonarchistyczne przybierają na sile. Związki zawodowe ogłaszają strajk i bojkot przedsiębiorstw brytyjskich. Do strajku przystępuje również policja kairska na znak protestu przeciwko masakrze w Ismailii. O 7 rano policjanci opuszczają koszary, udając się w kierunku uniwersytetu, skąd wspólnie z tysiącami studentów maszerują przed gmachy Prezydium Rady Ministrów. Manifestanci domagają się broni i wysłania armii nad Kanał do walki z Anglikami oraz zerwania stosunków dyplomatycznych z Londynem i zawarcia traktatu przyjaźni z ZSRR. Próby opanowania sytuacji przez rząd nie odnoszą skutku. Faruk, poinformowany o przebiegu manifestacji, podejmuje działanie na własną rękę. W porozumieniu z wywiadem angielskim inspiruje akcję podpalenia luksusowego centrum Kairu. Grupy płatnych podpalaczy podkładają ogień w licznych hotelach, sklepach, magazynach, kinach należących głównie do Europejczyków. Stolica Egiptu staje w płomieniach. Policja nie reaguje. Giną setki osób. Wypadki toczą się szybko, tak szybko, iż 9-osobowy **Komitet Wykonawczy Związku Wolnych Oficerów z Nasserem na czele podejmuje decyzję o niezwłocznym przystąpieniu do zdecydowanego działania.** Władze są już bowiem na ich tropie. Należy się więc śpieszyć. A zatem teraz lub nigdy!

ADAM CZERSKI

ROZRYWKA

Tygodnik TIME z 4 lipca br. w specjalnym dodatku wakacyjnym pisze o cieszącej się w USA dużą popularnością formie rozrywki — „diabelskich kolejkach". Nowe rozwiązania techniczne umożliwiły dostarczenie amatorom „mocnych wrażeń", przeżyć niewiele ustępującym doznaniom astronautów.

DIABELSKIE MŁYNY

„Diabelskie kolejki" — olbrzymie, pulsujące rytmicznym ruchem, onomatopeiczne konstrukcje dostarczające nam niepowtarzalnych emocji i określające granice wytrzymałości naszych organizmów. Odczuwamy prawie namacalnie bolesny wysiłek, z jakim nasz pojazd pełznie pod górę, pędzimy na złamanie karku w przepaść, doświadczamy momentu nieważkości na szczycie trasy, a w chwilę potem obezwładniającej siły przyspieszenia, gdy pędzimy po „zboczu" w „dolinę". Jesteśmy pełni podniecającego lęku, gdy wsiadamy do pojazdu na początku trasy, a na jej końcu odczuwamy radosne odprężenie.

Nikt jeszcze właściwie nie ustalił, dlaczego pokonywanie z olbrzymią szybkością zakrętów i staczanie się prawie pionowo w dół stanowi tak silny magnes dla jednostek ludzkich, skądinąd zupełnie „zdrowych na umyśle". Niektórzy psycholodzy sugerują, że jazda „diabelską kolejką" jest formą buntu przeciwko stłumionej lub nieszczęśliwej miłości, lub wywołuje uczucie ostatecznej ucieczki od zależności wieku dziecięcego. Inni mówią o utajonych pragnieniach śmierci lub potrzebie doznawania maksymalnych stanów lękowych. Dla niektórych jednak motywacja jest o wiele prostsza. Dwa lata po swym locie nad Atlantykiem Charles Lindberg przejechał się jedną z najstarszych „diabelskich kolejek" o nazwie „Cyclona" na Coney Island (kolejka ta w dalszym ciągu funkcjonuje i w lecie br. mija właśnie 50 lat od jej uruchomienia). Następnie oświadczył: — **„Jazda na „Cyclone" jest większym przeżyciem niż lot samolotem z maksymalną prędkością.** Minęło pół wieku, a emocje wywoływane przez „Cyclone" oraz jego bardziej nowoczesnych pobratymców nie zmniejszyły się.

„Diabelskie kolejki" zbudowane są z dwóch rodzajów materiałów — drewna i metalu. Drewniane, stanowiące współczesną wersję swych poprzedników, są konstrukcjami silnymi, elastycznymi i wytrzymałymi. Jednak sprawiają wrażenie rachitycznych i chybotliwych, dodając w ten sposób dodatkowych emocji swym pasażerom. Klekotanie i trzeszczenie pojazdów zostało „zaprojektowane" przez konstruktorów, aby pasażerowie jeszcze silniej odczuwali potęgę szybkości. Przewidziano również, iż pojazd osiągnąwszy szczyt konstrukcji, zmniejsza gwałtownie szybkość prawie do zera i w tym momencie pasażerowie mogą dokładnie przyjrzeć się czekającej ich otchłani, w którą za chwilę się stoczą. Zaprojektowano również dokładnie cały szereg pagórków, dużych i małych, oraz ostrych zakrętów, pozwalających na moment odczuć stan nieważkości.

Każda z drewnianych „diabelskich kolejek" ma inną osobowość. Texas Cyclona, znajdujący się w wesołym miasteczku Astroworld w pobliżu Houston wzorowany jest na swym poprzedniku z Coney Island. — **Jest tylko trochę większy i szybszy** — mówi jeden z pracowników tego łunaparku — **tak jak wszystko w Teksasie.** W jego słowach daje się poznać patriotyzm lokalny Teksańczyków. Jednakże „diabelska kolejka" z Houston zawiera prawie te same elementy trasy — niezwykle stromy zjazd, pod kątem 53 stopni oraz wiraż, którego dolny punkt znajduje się 92 stopy poniżej szczytu konstrukcji. Pasażerowie tracili peruki i sztuczne szczęki podczas pokonywania najostrzejszego zakrętu z szybkością ponad stu kilometrów na godzinę. Lunapark w St. Louis szczyci się swym słynnym „Skrzeczącym Orłem", który zajmuje zaszczytną pierwszą pozycję w „Księdze Rekordów" Guinnessa. Jest to najdłuższa, najszybsza i osiągająca największą wysokość „diabelska kolejka". Nie posiada co prawda tak stromych spadków i wzniesień (ich nachylenie nie przekracza 45—50 stopni), ale za to trasa składa się z serii umieszczonych blisko siebie wzniesień, które powodują, że pasażerowie poddawani są co chwila przyspieszeniom sięgającym od zera do 2,75 G.

Inne, bardziej znane drewniane „diabelskie kolejki", to „Great American Scream Machine", w pobliżu Atlanty, oraz „Twin Racer" na Kingd Island, w pobliżu Cincinnati. Scream Machine usytuowana jest w pobliżu rozległego jeziora, czy raczej laguny, i widok na rozlewisko jest nieodłączną częścią jazdy, podobnie jak ostre zakręty i spadki. „Twin Racer", podobnie jak „Rebel Yell", w pobliżu Richmond, posiada dwie równoległe trasy dla „ścigających się" pojazdów.

Konstruktorzy „diabelskich kolejek" zbudowanych z metalu czerpali inspirację z osiągnięć przemysłu kosmicznego. — **Dokładaliśmy wszelkich starań, aby upewnić się, że pasażerowie zostaną poddani tylko takim doznaniom, które mieszczą się w biochemicznych możliwościach przeciętnego organizmu ludzkiego** — mówi Terry Brown, wiceprezes Arrow Development Co. — **Każda jazda jest kontrolowana przez specjalne instrumenty. Specjalny komputer informuje nas bez przerwy o szybkości pojazdów, sile odśrodkowej i innych siłach działających na pasażerów.**

Jazda „diabelską kolejką" zbudowaną z metalu jest cicha i pozbawiona wstrząsów. Trasa naszpikowana jest jednak ciasnymi pętlami, zakrętami oraz „korkociągami". Konstrukcja podtrzymująca zbudowana jest całkowicie ze stali, a same pojazdy przypominają raczej prom kosmiczny niż małe samochodziki, z którymi mamy do czynienia w „diabelskich kolejkach" wykonanych z drewna. Pokonując niezwykle pokręconą i wymyślną trasę metalowych kolejek, pasażer musi zadać sobie podstawowe pytanie: — **Gdzie się znajduję?** Jeden z pasażerów kolejki „Python" w Busch Gardens w Tampa na Florydzie stwierdził, że „serce podeszło mu do gardła", kiedy jego pojazd pokonywał 360-stopniową pętlę i zawisł nagle nogami do góry. Porównanie to nie wydaje się jednak ścisłe — jego nogi znajdowały się wówczas w miejscu, gdzie powinno znajdować się gardło. Co do serca, to było ono prawie na swoim miejscu.

Pasażerowie poddawani są niejednokrotnie przyspieszeniu przewyższającemu 3 G, a to już wystarczy, aby zbladł nawet doświadczony pilot odrzutowych samolotów wojskowych. Trasy są zazwyczaj tak pomyślane, że finałowa pętla znajduje się na końcu i pasażerowie muszą pokonać wszystkie zakręty i pagórki ponownie, tyle że w odwrotnej kolejności, aby dotrzeć do kresu swej podróży. Ponadto niektóre kolejki mają jeszcze inną atrakcję. Pojazd dotarłwszy do końca trasy, cofa się następnie, z taką samą szybkością, do jej początku. Wprowadza to pasażerów w dodatkowe zakłopotanie, ponieważ są oni przyzwyczajeni do ruchu naprzód. Wszyscy są zdezorientowani po pokonaniu tyłem, z dużą szybkością, ciasnej pętli. Po zakończeniu takiej podróży wiele osób wysiada z pojazdów na miękkich nogach i odczuwa poważne zaburzenia żołądkowe.

Które „diabelskie kolejki" są lepsze? Tak jak zawsze, jest to kwestia osobistych upodobań. Pętle i korkociągi dostarczają chyba największych emocji, których nie są w stanie dostarczyć kolejki drewniane. Jednakże gdyby pozbawić metalowe kolejki 360-stopniowych pętli, to można by chyba powiedzieć, że jazda nimi jest zbyt nudna, a zwłaszcza zbyt cicha i pozbawiona wstrząsów. Nie ma tu możliwości — tak jak w wypadku drewnianych kolejek — zaangażowania zarówno oka jak i ucha pasażera. Jazda drewnianą kolejką przypomina nieco krótkotrwały lot hałaśliwym dwupłatowcem, natomiast podróż w metalowej kolejce przypomina raczej lot do Cleveland na pokładzie Jumbo-Jeta. Obie spełniają określone wymagania klienteli — zapewniają chwilę zapomnienia połączoną z zabawą i odrobiną strachu, ale tylko po podróży drewnianą kolejką czuje się w kościach jej efekty.

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA (1)

AGENT NR 1200 DONOSI

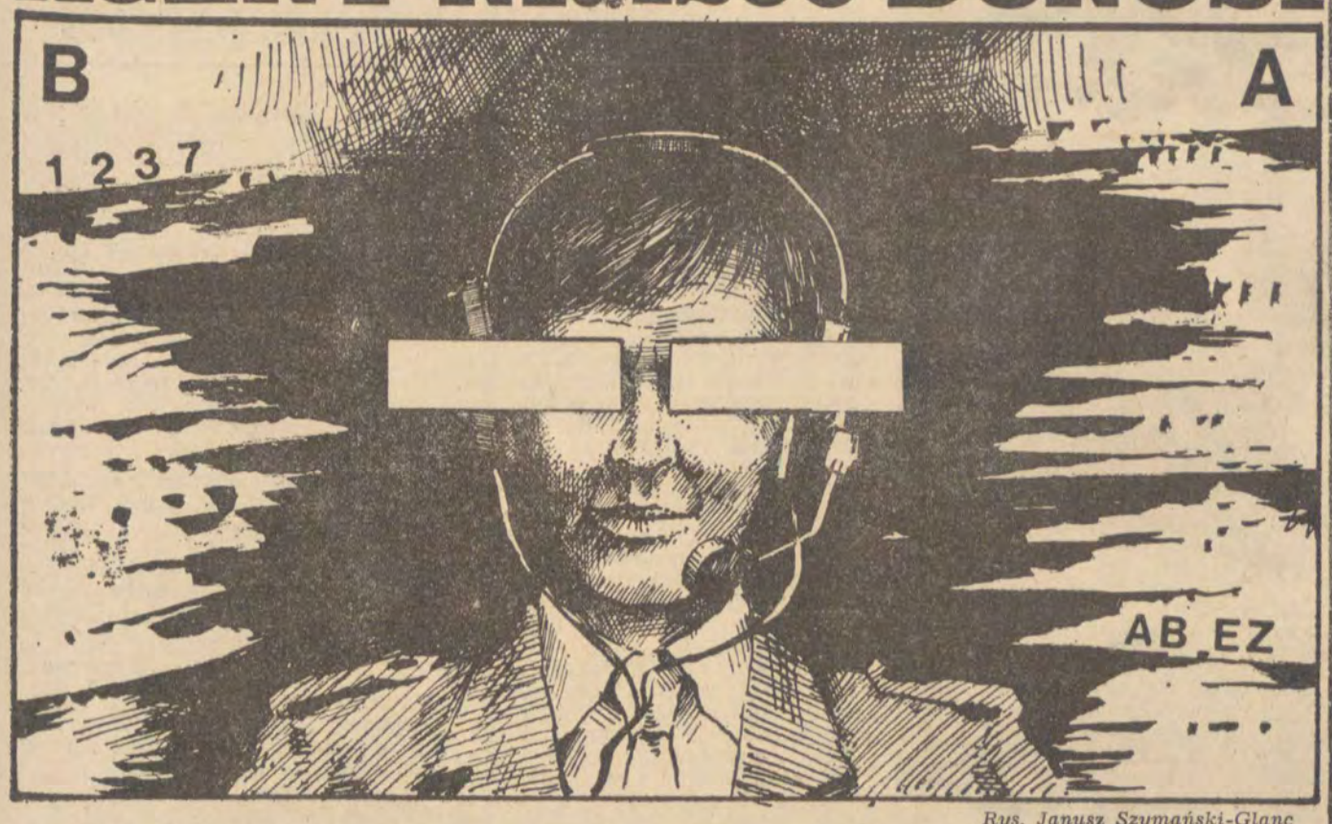

Rys. Janusz Szymański-Glanc

W 1940 roku, równocześnie z przygotowaniami do operacji „Lew Morski" – inwazja na Wyspy Brytyjskie – naczelne dowództwo hitlerowskich sił zbrojnych realizowało taktykę planowego niszczenia z powietrza brytyjskich miast przemysłowych. W Anglii legło w gruzach ponad milion domów mieszkalnych, zginęło około 40 tysięcy ludzi, 46 tysięcy odniosło rany, głównie spośród ludności cywilnej.

W nalotach bombowych na Anglię lotnictwo hitlerowskie ponosiło duże straty. Od lipca do listopada 1940 roku Luftwaffe straciła nad Anglią 1733 samoloty. Dlatego też historycy II wojny światowej przez długie lata głowili się nad zagadką, w jaki sposób udało się lotnictwu hitlerowskiemu nieomal zetrzeć z powierzchni ziemi tak duży przemysłowy i kulturalny ośrodek, jakim było miasto **Coventry**, nie tracąc przy tym ani jednego bombowca? Brytyjski historyk i dziennikarz w jednej osobie, **Anthony Brown**, poświęcił wyjaśnieniu tej zagadki 12 lat studiów i poszukiwań w brytyjskich archiwach. Wyniki tych badań zawarł w bardzo interesującej książce pt. **„Kurtyna kłamstwa"**. Tytuł zapożyczył autor tej pracy ze zdania Wistona Churchilla, które premier Wielkiej Brytanii wypowiedział na konferencji w Teheranie w 1943 roku:

„W czasie wojny prawda jest tak drogocenna, że należy ją zawsze osłaniać kurtyną kłamstwa".

Otóż Brown uważa, że wojskowe i polityczne kierownictwo Wielkiej Brytanii dowiedziało się zawczasu o planowanym nalocie lotniczym na Coventry, lecz celowo nie podjęło żadnych kroków w jego obronie. Zadecydował w tej sprawie osobiście Churchill, który zajmował w owym czasie stanowisko premiera i ministra obrony.

W 1938 roku, niemal w przeddzień drugiej wojny światowej, agent nr 1200 Brytyjskiej Wojskowej Służby Wywiadowczej, MI-6, major Francis Fawly, zdobył w Berlinie informację ogromnej wagi. Dowiedział się, że do szyfrowania rozkazów i tajnego przekazywania informacji, hitlerowski Wehrmacht używa szyfrującej maszyny pod nazwą **„Enigma"**.

Kiedy tylko ta niezwykle ważna informacja dotarła do Londynu, dowódca MI-6, H. Sinclair, postawił przed swoim zastępcą, Stevardem Mensisem, następujące zadanie: **Za wszelką cenę zdobyć tajemnicę „Enigmy!"** Ówczesny dyrektor Secret Intelligence Service (SIS), to jest brytyjskiego wywiadu, stanął na wysokości zadania. Jego agentom udało się odnaleźć w Warszawie polskiego inżyniera, który — przed wydaleniem go z hitlerowskiej Rzeszy ze względów rasistowskich — pracował przy konstrukcji „Enigmy", w jednej z berlińskich fabryk. Otrzymawszy w formie wynagrodzenia 10 tysięcy dolarów i angielski paszport, ów inżynier, przewieziony następnie do Paryża, odtworzył tam „Enigmę" w każdym szczególe.

Najwybitniejszy w owym czasie angielski specjalista w dziedzinie systemów szyfrujących, Alfred Nox oraz młody, niezwykle utalentowany matematyk, Allen Thuring, zabrali się do rozwiązania niezwykłego problemu, którego, wydawałoby się, rozwiązać nie sposób, skonstruowania maszyny, która by odczytywała każdy tekst napisany szyfrem „Enigmy", niezależnie od tego, jakim kluczem przy szyfrowaniu informacji posługiwał się przeciwnik. Udało się! Obaj uczeni odnieśli niesłychany sukces.

We wrześniu 1939 roku, kiedy Niemcy hitlerowskie napadły na Polskę, a Anglia i Francja wypowiedziały im wojnę, szyfrowane rozkazy Wehrmachtu, a nawet najbardziej tajnych służb III Rzeszy, nie były tajemnicą ani dla ówczesnego brytyjskiego premiera Chamberlaina, ani później dla jego następcy na tym stanowisku od maja 1940 roku — Winstona Churchilla i jego generałów. Skonstruowane przez angielskich specjalistów urządzenie zapewniało napływ informacji dwoma kanałami, które otrzymały umowne nazwy: „Bomba" i „Ultra". Podczas drugiej wojny światowej, od początku do końca, płynęły z nich nieprzerwanym strumieniem odczytane niemieckie informacje. Wokół obu tych kanałów toczyła się pewnego rodzaju „wojna wewnątrz wojny" z użyciem całego arsenału wojennych forteli, kamuflaży, dezinformacji, zasadzek itp. itd.

Dyrektywę o wykonanie operacji **„Lew Morski"** — inwazji na Anglię — podpisał Hitler **2 lipca 1940 roku.** Szczegółowe rozkazy wydano 16 lipca. 1 sierpnia Hitler wydał rozkaz „Prowadzenia wojny powietrznej i morskiej przeciwko Anglii". Luftwaffe miała natychmiast przystąpić do wykonania zadania, polegającego na „stworzeniu niezbędnych warunków do definitywnego podboju Anglii". Główny cel operacji „Lew Morski" polega na tym — pisał Hitler — żeby **„unieszkodliwić Anglię jako bazę do prowadzenia wojny przeciwko Niemcom".**

Bitwę o Anglię zapoczątkowały zmasowane naloty Luftwaffe, mające na celu związanie angielskiego lotnictwa myśliwskiego w walkach powietrznych, w warunkach niekorzystnego dlań stosunku sił, co byłoby równoznaczne z całkowitym zniszczeniem brytyjskich sił powietrznych. Wykonując rozkazy Hitlera, Luftwaffe dążyła za wszelką cenę do uzyskania przewagi w powietrznym obszarze Anglii, traktując to zadanie jako jeden z decydujących warunków umożliwienia inwazji sił lądowych na terytorium Wielkiej Brytanii.

Jednakże od samego początku tej kampanii Churchill i sztab sił powietrznych Wielkiej Brytanii, znali, jeśli nie wszystkie, to na pewno większą część planów Luftwaffe. Informacje otrzymywane przez kanał **„Ultra"** pozwalały na koncentrowanie jednostek lotnictwa myśliwskego w określonym miejscu, podrywania ich do lotu w odpowiednim momencie i na odpowiednią wysokość. Sprzyjało to efektywnemu odpieraniu zmasowanych nalotów niemieckiego lotnictwa, zapobiegało rozpraszaniu eskadr brytyjskich, kiedy samoloty wroga próbowały wciągnąć je do walki, żeby inne mogły wykonać określone zadania bojowe.

Wiadomo jednak, że nawet najcenniejsza informacja wywiadowcza nie wystarczy do wygrania wojny. Po dwóch miesiącach ciężkich i wyczerpujących walk powietrznych, lotnictwo brytyjskie, które i tak odczuwało ostry brak rezerw, znalazło się na granicy zupełnego unicestwienia. I akurat w tym czasie **„Ultra"** wystukała wiadomość brzemienną w wydarzenia. Goering wyznaczył na **15 września 1940 roku** operację lotniczą pod nazwą **„Dzień orła"** — potężny nalot na Wielką Brytanię, którego celem było całkowite zniszczenie angielskiego lotnictwa. Jeśliby **„Dzień orła"** został uwieńczony sukcesem, Hitler, idąc za ciosem, mógłby bezzwłocznie wtargnąć do Anglii. W razie załamania się tej operacji, byłby zmuszony zrezygnować z tej próby. Churchil, doskonale znając te zamierzenia Niemców, złożył przed mikrofonami BBC następujące oświadczenie:

„Nadchodzący tydzień, a także następne musimy uważać za doniosły moment w naszej historii, za moment, który — jeśli chodzi o jego znaczenie — można porównać z wydarzeniem, kiedy hiszpańska „niezwyciężona armada" zbliżała się do Kanału la Manche, albo z tym wydarzeniem, kiedy admirał Nelson osłonił sobą Anglię przed „wielką armią Napoleona", skoncentrowaną w Boulogne".

O świcie **15 września 1940 roku** Churchill wyjechał samochodem ze swej podmiejskiej rezydencji do Exbridge, na przedmieściu Londynu, gdzie mieścił się sztab dowodzenia 2 zgrupowania lotnictwa myśliwskiego, na którym spoczywała obrona powietrzna stolicy i południowo-wschodniej części Anglii.

Uprzedzony zawczasu o **„Dniu orła"**, dowódca lotnictwa myśliwskiego Anglii zebrał resztki swoich sił na lotniskach, z których mogły najbardziej efektywnie przeciwdziałać eskadrom Luftwaffe. Postawiono w stan gotowości bojowej wszystkie urządzenia radiolokacyjne i stanowiska obserwacji powietrznej, artylerii i łączności. Siedząc w fotelu przy stole dowodzenia operacyjnego, Churchill obserwował, jak mrowie niemieckich samolotów gromadzi się w powietrzu nad francuskimi portami. Celem nalotu był Londyn. Miało go zaatakować tysiące bombowców i 700 samolotów myśliwskich...

O pierwszej po południu niebo nad południowo-wschodnią częścią Anglii ogarnął płomień bitwy. Spitfire'y i Hurricane'y dwudziestoma pięcioma bojowymi grupami wyleciały na spotkanie niemieckiej armady. O piątej po południu wściekłe ataki Luftwaffe straciły na impecie. Zamiar stworzenia korzystnych warunków do inwazji na Anglię spalił na panewce. Niebo nad Anglią pozostało w rękach brytyjskich lotników.

Dwa dni później **„Bomba"** odczytała szyfrowany rozkaz naczelnego dowództwa Wehrmachtu z dyrektywą Hitlera:

„Jednostki lotnictwa stacjonujące w bazach holenderskich mają przystąpić do demontowania urządzeń, przygotowanych do lądowania na wybrzeżach Anglii".

Po otrzymaniu tej wiadomości Churchill zwołał na wieczór tegoż dnia naradę szefów sztabów. Major Winterbotheam, dowódca brytyjskiej wojskowej służby wywiadowczej lotnictwa, tak opowiada o tym pamiętnym wieczorze:

— Uderzyła mnie radykalna zmiana nastroju wszystkich uczestników narady. Jakby ktoś popuścił strunę trzymaną dotąd w ogromnym napięciu. Wszyscy powstrzymywali cisnący się na usta uśmiech.

Zdaniem szefa sztabu lotnictwa brytyjskiego, przechwycony rozkaz oznaczał, że Hitler zrezygnował z planów inwazji na Wyspę Brytyjską co najmniej na rok.

cdn.

TECHNIKA

Do najwspanialszych w dziejach techniki, zadziwiających swą prostotą, wynalazków należy bez wątpienia łożysko toczne mające na celu zmniejszenie oporów w ruchu obrotowym. Z czasem, konieczność uzyskiwania coraz szybszych obrotów zmusiła do poszukiwania innych, jeszcze doskonalszych rozwiązań. Przez długi czas dalsze zmniejszanie oporów ruchu otrzymywano, przede wszystkim, wprowadzając do wnętrza łożyska tocznego coraz doskonalsze smary.

Rewelacyjny okazał się dopiero pomysł zastąpienia kulek, lub innych elementów stałych, cieczą. Skonstruowano **łożyska ślizgowe**, w których element wirujący oddzielony jest od części nieruchomej cienką warstewką cieczy, najczęściej oleju. Otrzymanie jeszcze szybszych obrotów stało się możliwe dzięki wprowadzeniu w miejsce cieczy sprężonego powietrza. **Łożyska powietrzne** pozwalając osiągać ogromne prędkości sięgające setek tysięcy, a nawet milionów obrotów na minutę. Ich wyższość nad łożyskami olejowymi wynika stąd, że główne źródło oporów w łożysku ślizgowym — lepkość oleju jest około cztery tysiące razy większa niż lepkość powietrza.

Konstrukcje łożysk s m a r o w a n y c h powietrzem — jak mówią technicy — to jedna z głównych specjalności **Zespołu Napędów Mikroturbinowych i Łożyskowania Przepływowego** w **Instytucie Maszyn Przepływowych Politechniki Łódzkiej.** Dwunastu specjalistów opracowuje pod kierunkiem **doc. dr hab. JANA KRYSIŃSKIEGO** i **doc. dr hab. ZBYSZKA KAZIMIERSKIEGO** metody obliczeń i nowe konstrukcje łożysk z myślą o ich praktycznym wykorzystaniu.

Naukowcy utrzymują ścisłe kontakty ze swymi przemysłowymi partnerami. Należą do nich m. in. **Fabryka Narzędzi Chirurgicznych i Dentystycznych „MIFAM" w Milanówku** oraz **Żywiecka Fabryka Sprzętu Szpitalnego w Żywcu.** Już same nazwy fabryk wskazują, że opracowania uczonych z Politechniki Łódzkiej służą usprawnieniu techniki medycyny.

U DENTYSTY

W gabinecie dentysty obok fotela dla pacjenta stoi maszyna do borowania zębów. Posiada ona długi wąż zakończony tzw. **wiertarką dentystyczną.** Wiertarka, zwana w zależności od kształtu kątnicą lub prostnicą, wprawia w ruch maleńkie wiertło „harcujące" po leczonym zębie. Wiertło umocowane jest w wirniku, który w tradycyjnych maszynach był poruszany przy pomocy silnika elektrycznego. Nowoczesne wiertarki posiadają napęd turbinowy. Działająca pod wpływem sprężonego powietrza turbina wprawia wirnik wiertarki w znacznie szybsze obroty niż miało to miejsce we wcześniejszych rozwiązaniach. Większa częstość obrotów, sprawia, że **pacjent odczuwa znacznie mniejszy ból.** Wiertarki dentystyczne o napędzie turbinowym importujemy obecnie z Czechosłowacji. Wirnik kątnicy czechosłowackiej obraca się w łożysku tocznym z częstością pięć tysięcy obrotów na sekundę.

Kilkanaście lat temu podjęto w krajach zachodnich pierwsze prace nad osadzeniem wirnika wiertarki przy pomocy łożyska powietrznego. Wprowadzenie zamiast kulek cienkiej warstwy sprężonego do ok. 3,5 atmosfery powietrza pozwala nie tylko zwiększyć częstość obrotów, ale także, na skutek zmniejszenia tarcia, ograniczyć zużycie współdziałających powierzchni oraz zmniejszyć hałaśliwość urządzenia.

W 1969 roku prace zaowocowały, podjęto w Politechnice Łódzkiej prace które doprowadziły do skonstruowania wiertarki, która oprócz wszystkich zalet wiertarek o łożyskach powietrznych, posiada wiele innych, całkowicie

PAWEŁ PATORA

SMAROWANIE... POWIETRZEM

oryginalnych. Głównymi atutami tego urządzenia są **wyjątkowa prostota budowy i łatwość obsługi.** Wymiany wiertła może dokonać lekarz w ciągu kilku sekund, bez stosowania jakichkolwiek przyrządów pomocniczych. Czyszczenie wiertarki jest bardzo łatwe, a wymiana wirnika nie nastręcza trudności większych niż np. wymiana wkładu w długopisie. Ważną cechą nowej wiertarki jest „troska o pacjenta". Jeśli lekarz umocuje w wirniku skrzywione lub zużyte wiertło, kątnica przestaje działać.

Skonstruowana kilka lat temu, opatentowana w Polsce i NRD, zgłoszona do opatentowania w kilku innych krajach RWPG, nowoczesna konstrukcja nie doczekała się jeszcze szerokiego upowszechnienia mimo podjęcia produkcji przez fabrykę w Milanówku. Przyczyną jest brak sprężarek nadających się do zasilania turbiny. Znane i stosowane w Polsce sprężarki nie dają potrzebnego ciśnienia, a ponadto sprężone w nich powietrze zostaje zanieczyszczone resztkami oleju używanego do smarowania części ruchomych. Taka sytuacja zmusiła zespół naukowy do podjęcia pracy nad zaprojektowaniem i skonstruowaniem sprężarki powietrznej nadającej się do celów medycznych.

Opracowano już dwie wersje urządzenia. Wykonano prototyp sprężarki smarowanej nietoksycznym olejem parafinowym, a także, we współpracy z **Ośrodkiem Badawczo-Rozwojowym Oczyszczania Miast w Łodzi,** model sprężarki bezsmarowej. Dzięki zastosowaniu w niej elementów o wyjątkowo niskim współczynniku tarcia smarowanie staje się zbędne, a w efekcie uzyskuje się całkowicie czyste powietrze. Do podjęcia seryjnej produkcji nowych sprężarek przygotowuje się **Żywiecka Fabryka Sprzętu Szpitalnego.**

JAK OSTRZYĆ IGŁY?

Zastrzyk, aby towarzyszył mu możliwie najmniejszy ból, musi być wykonany po pierwsze — fachową ręką, po drugie — wysokiej jakości igłą. Dobre igły — to igły o właściwie uprofilowanych ostrzach. Krajowy potentat w produkcji igieł lekarskich — fabryka **„MIFAM"** w Milanówku uruchomiła automatyczną linię ostrzenia igieł, w której wykorzystano rozwiązania specjalistów z Politechniki Łódzkiej, którzy zaprojektowali **łożyska powietrzne do wrzecienników.** Jedna linia automatyczna musi posiadać cztery wrzecienniki z wirującymi tarczami szlifierskimi, gdyż każda igła jest czterokrotnie ostrzona. Kto posiada dobry wzrok, może gołym okiem dostrzec trzy, ułożone pod różnymi kątami, powierzchnie ostrza igły lekarskiej. W trakcie produkcji wykonuje się bowiem tzw. ostrzenie zasadnicze (dwukrotnie) i dwa lancetowania, dzięki czemu ostrze uzyskuje najbardziej pożądany kształt. Jest to praca precyzyjna — promień najgrubszej igły ma sześć dziesiątych, najcieńszej — dwie dziesiąte milimetra.

Półtora roku pracują już w Milanówku wrzeciona łożyskowane powietrzem i, jak dotąd, spisują się bardzo dobrze. Według opinii fabryki **„MIFAM" „... realizacja tematu zakończyła się pełnym powodzeniem stanowiąc istotny postęp w technologii produkcji igieł lekarskich".**

W automatycznej linii ostrzenia igieł lekarskich wykorzystano jeszcze jedno opracowanie łódzkich naukowców. Jest to tzw. **układ kompensacji zużycia ściernicy.** Tarcza szlifująca ostrza, dość szybko się zużywa, podobnie jak osełka do noży. Stopniowo maleje więc średnica tarczy szlifierskiej i zachodzi konieczność dosunięcia jej do igieł. Dotychczas robiono to ręcznie. Urządzenie opracowane w PŁ, co kilka sekund, automatycznie dosuwa ściernicę o 0,02 mm. Takiej precyzji nie mógłby osiągnąć nawet najbardziej doświadczony pracownik.

Od trzech lat pracują w Milanówku **turbinowe wrzeciona do wiercenia otworów w nasadkach igieł.** Zarówno mikroturbiny, jak i łożyska powietrzne do tych wrzecion są dziełem naukowców z PŁ. Amerykanie za podobne urządzenia każą sobie płacić po 50 tysięcy dolarów. Wyłoniły się też możliwości eksportu polskich wrzecion turbinowych. Nic dziwnego, skoro urządzenia te charakteryzuje wysoka wydajność i trwałość. Częstość obrotów, w porównaniu ze stosowanymi wcześniej wrzecionami wzrosła z trzech tysięcy do około pięćdziesięciu tysięcy na minutę. Wiertła mają dzięki temu optymalne prędkości skrawania.

SPORT

FORMA W KONSERWIE

Pamiętam taki mecz międzypaństwowy, który rozegrała nasza reprezentacja na początku sezonu ligowego, wygrawszy go zresztą, ale w takiej formie, że trzeba było do tego faktu szybko dorobić zgrabną koncepcję. I wymyślono ją. Otóż przeciwnik rozpoczął sezon ligowy znacznie wcześniej i był rozegrany, a nasi mieli wakacje w kościach, byli sztywni i niedostatecznie zgrani.

Posiadamy już wysoce opanowaną umiejętność dorabiania koncepcji do faktów i potrafimy z taką samą żarliwością ganić to, co chwaliliśmy, jak też chwalić to, co ganiliśmy. W tym sezonie mecze ligowe rozpoczęły się dość wcześnie, kiedy jeszcze trwają wakacje. A więc na długo przed międzynarodowym sezonem, co powinno zarówno członkom kadry piłkarskiej, jak i tym drużynom, którym przyjdzie spotkać się z zagranicznymi rywalami, dać możliwość rozegrania się, rozruszania kości i zdobycia dobrej formy.

Nasza liga ma jak gdyby dwie płaszczyzny. Pierwsza to walka o ligowy byt i pozycję w ligowej tabeli. Druga — to przygotowania do międzynarodowych konfrontacji. Ligowe mecze są uważnie obserwowane nie tylko przez kibiców, ale także i przez wysłanników PZPN. Już wyznaczono termin konsultacji w Chorzowie, już szykować się będzie drużyna na spotkanie z piłkarzami Austrii, już myśli się o zespole, który przystąpi do drugiej tury rozgrywek eliminacyjnych do mistrzostw świata w Argentynie. Liga też powinna dać nam obraz tego, jak 5 polskich zespołów może zagrać w spotkaniach z zagranicznymi rywalami. I kibic poważnie interesujący się piłką nożną z uwagą śledzi poczynania tych zespołów. Ale wielu powodów do zadowolenia nie ma.

Najlepiej — jak do tej pory — spisuje się krakowska Wisła, która wprawdzie nie bierze udziału w rozgrywkach pucharowych, ale której start do jesiennej rundy sezonu 1977/1978 może w pełni zadowalać. Jednak i tu kibic może zadać sobie pytanie: na jak długo starczy takiej formy temu zespołowi? Jest to bardzo charakterystyczne pytanie, gdyż historia pierwszej ligi zna już wiele takich przypadków, kiedy rewelacje różnych rund gwałtownie traciły formę, a nawet spadały z pierwszej ligi.

Kibic ma więc wiele powodów do niepokoju. Po czterech kolejkach jesiennej rundy tylko wrocławski Śląsk plasuje się w czołówce pierwszej ligi. Pozostałe 4 drużyny znalazły się na jej końcu. A opolska Odra — na 16 miejscu. Żadna z tych drużyn nie reprezentuje takiej formy, aby można było ze spokojem czekać na spotkania z zagraniczną drużyną. A niektóre z tej piątki mają bardzo silnych i niebezpiecznych przeciwników.

Niektórzy skłonni są się pocieszać: — oni szykują formę na te najważniejsze, międzynarodowe spotkania. Jest to kolejna i bardzo wygodna koncepcja, którą dorabia się do faktów. Tej koncepcji przeczy jednak to, co dzieje się na boisku. Nieprecyzyjne podania, brak kondycji, ospałość, brak myśli w grze zespołów, chaotyczność w grze, brak ambicji, wszystko to razem nie skłania do optymizmu. Pamiętam też inny mecz międzynarodowy, rozgrywany na stadionie w Rzymie, kiedy to drużyna Holandii miała już wygrane eliminacje do mistrzostw Europy i pozwoliła wygrać zespołowi Włoch 1:0. Holendrzy grali wtedy autentycznie w poprzek boiska. Nie musieli wygrać, ale też i nie chcieli przegrać w innym stosunku niż 0:1. Mimo tego, że przegrali, oni dyktowali styl gry, oni już prowadzili. Ale tego nie można powiedzieć o naszych kandydatach do międzynarodowych spotkań. Sosnowieckie Zagłębie, które do przerwy remisuje 1:1, po przerwie przegrywa aż 1:4 i to z chorzowskim Ruchem, który w poprzednim meczu przegrał z bytomską Polonią 0:3. Co się dzieje z pierwszą ligą? — pytają sprawozdawcy sportowi i mają rację. Jest to pytanie ze wszech miar uzasadnione.

W Łodzi spotykają się dwie inne drużyny, którym przyjdzie już niedługo grać na zagranicznych stadionach: Widzew i Górnik. Wprawdzie Widzew po raz pierwszy wygrywa z Górnikiem i po raz pierwszy wygrywa w tej rundzie na własnym boisku, ale i to nie może zadowolić kibica, który pamięta, że takim stylem gry nic się nie zdziała w walce z renomowanymi drużynami zagranicznymi.

Na naszych stadionach gra się nie tyle ostro, co brutalnie. Kiedy faule zastępują umiejętności techniczne, to niczego dobrego to nie wróży. I tu znów nie ma co dorabiać teorii do faktów, bo już — mimo, że to dopiero początek rundy — nie grają z powodu kontuzji Lesław Ćmikiewicz, Janusz Sybis, Władysław Żmuda i Kazimierz Kmiecik. Zbigniew Boniek w ostatnim meczu grał z nie wyleczonym zapaleniem oskrzeli i nie wyleczoną kontuzją. Ale to już inna sprawa. Nie piszę tego z myślą, aby zasugerować zawodnikom pierwszoligowych drużyn, że mają oszczędzać najlepszych. Piszę raczej z niepokojem, że faule zastępują umiejętności techniczne. Czy taki system gry wystarczy na długo? Czy ratowanie wyniku faulem, czy ratowanie błędu faulem może być zawsze skuteczne? I czy w ogóle powinno być metodą?

Jakoś nie wierzę, że nasze zespoły, które mają przed sobą zagraniczne spotkania konserwują formę na ten właśnie czas. Bo to się może nie udać. Konserwa bywa czasami zepsuta.

BOGDA MADEJ

LATO-77

Z ABONAMENTEM PO SŁOŃCE

Foto: Archiwum

Według oficjalnych prognoz ponad 300 tys. Polaków wykupiło sobie tego lata abonament na słońce, czyli pociągiem, samochodem, samolotem — indywidualnie lub w zorganizowanych grupach — wyruszyło na Czarnomorską Riwierę. Turystyczna prognoza nie uwzględniała deszczowego i zimnego lata w kraju, chłód i długotrwałe deszcze w kraju wpłynęły niewątpliwie na zwiększenie liczby rodaków szukających w Bułgarii słońca. Dlatego tych, którzy zaopatrzą się w abonament na pogodę — czyli ruszą do Bułgarii — będzie tego lata dużo więcej niż przewidywano u progu sezonu.

— Załóżmy, że za nami już:

— przegląd „malucha" czy „syrenki" w stacji obsługi „Polmozbytu" (co najmniej 6 godzin czekania);

— kolejka po lewa i talony tranzytowe w NBP (od 3 do 6 godzin stania);

— wizyta w Okręgowym Biurze Turystyki Zmotoryzowanej PZMot. po Książeczkę Pomocy Drogowej i talony na benzynę do Bułgarii (w sierpniu talonów już zabrakło);

Przyjmijmy, że:

—nasza butla turystyczna napełniona jest po brzegi (2 godziny czekania);

— mamy już za sobą bieganinę od kiosku do kiosku „Ruchu" po broszurkę KAW pt. „Zwiedzamy Bułgarię" (ostatnie wydanie w 1975 r. i nakład dawno już wyczerpany);

— wędrówkę od księgarni do księgarni po mapy samochodowe lub przewodniki (księgarze patrzą na pytającego jak na wariata).

Załóżmy, że za nami już kolejka do bariery przejścia granicznego (np. Barwinku od 2 do 5 godzin czekania i przed nami przeszło dwukilometrowy Most Przyjaźni na Dunaju w Ruse. Odtąd dla większości Polaków zaczyna się słoneczna Bułgaria i nasz przewodnik zmotoryzowanego turysty.

A **Ruse** to, niestety, dla przeważającej części turystów polskich jadących na resztkach benzyny — tylko miejsce tankowania. Niestety, gdyż Ruse liczy sobie (bagatela!) 2000 lat. Założone przez Rzymian nosiło nazwę Sexaginta Prista (Port 60 okrętów). Warto pospacerować tam uliczkami starej dzielnicy. Tylko w odległości 20 km od miasta leży malownicza wieś Iwanowo, jej atrakcjami turystycznymi są wykute w skałach pustelnie, cerkiewki z XIII w. i jaskinia. Na około 160 samochodów, które zboczyły do Iwanowa (13 czerwca br.) — tylko dwa miały tabliczkę „PL".

Benzyna i zaopatrzenie się w nią nie jest proste. Od wiosny br. podzielono stacje benzynowe na dwie grupy — jedne zaopatrują tylko samochody państwowe, drugie — prywatne. Sęk w tym, że na stacjach brak informacji, czy sprzedają benzynę prywatnym posiadaczom czy tylko pojazdom państwowym. Nie zawsze można dostać benzynę 93-oktanową, nie zawsze jest dziewięćdziesiątka szóstka. W każdym razie kanister jest w tym kraju konieczny. Kolejki na stacjach spore. Nie radzę brać paliwa w soboty i niedziele — wtedy kolejki są najdłuższe, Bułgaria jest bowiem krajem zmotoryzowanym (np. w Sofii samochód posiada co 6 rodzina) i w czasie sobotnio-niedzielnych weekendów traci się co najmniej godzinę w gigantycznych kolejkach do pompy.

Ci, którzy zmierzają na bułgarskie wybrzeże, mają z Ruse dwie drogi do wyboru — przez Rozgrad — Novi Pazor do Warny lub przez Rozgrad — Karnabet — Ajtos — Burgas — na południe do Sozopolu, Primorska i Miczurina.

Pierwsza trasa jest wygodniejsza — szosa dobra, szeroka choć zatłoczona, druga gorsza, ale za to z niezapomnianymi widokami i co ważne z cichymi, mało uczęszczanymi i tanimi restauracjami, w których zjeść można przyzwoity obiad składający się z przysmaków bułgarskiej kuchni: toratora (rodzaj chłodnika z zsiadłego mleka z drobno posiekanej naci pietruszki, mielonych orzechów, roztartego czosnku z dodatkiem oliwy) i kebapczetu (potrawa mięsna, ostro przyprawiona pieprzem, cebulą, papryką).

Drogi, również główne (np. Ruse — Sofia), są zatłoczone — uważać trzeba na rolnicze pojazdy, nierówności i wyrwy — przed wyjazdem wypada sprawdzić zawieszenie i hamulce. Na górskich serpentynach gospodarze prowadzący samochody osobowe lub ogromne ciężarówki rwą z niewiarygodną szybkością. Co 100—150 km widzi się rozbity samochód — najczęściej z rejestracją zagraniczną.

Ekstra atrakcją jest dla turystów nocleg w mało znanym, bo niedawno uruchomionym campingu **Madara**. Znajduje się on tuż przy głównej szosie do Warny, 16 km za miastem Szumen. Górzystą szosą, a następnie boczną dróżką wjeżdża się na zbocze góry trochę wyżej niż na naszą Gubałówkę. Wygodne, obszerne, dwuosobowe domki (4 lewa 50 stotinek kosztuje wynajęcie jednego), wspaniały widok. Wokół ślady historii — na wysokości ponad 20 metrów wykuta w skale ogromna (3 x 2,6 m), pochodząca z VIII w. płaskorzeźba cara Terwala na koniu. Nie opodal odkryte fragmenty rzymskiego pałacu z II w. otoczonego obronnym murem z basztami. W okolicy groty zamieszkałe już 5 tys. lat temu. Odkryto również w skałach klasztorne cele.

Kiedy już dobrniemy w okolice **Warny** do **Złotych Piasków**, kiedy ujrzymy te tłumy, gęsto rozstawione namioty na campingach, przypomnimy sobie, że przyjechaliśmy tu nie tylko po słońce, ale także na wczasy.

Fatalny dla nas (a miły gospodarzom) tłok, tłum wczasowiczów, za nami, my mkniemy tam gdzie (się nam wydaje) mniej ludzi, luźniejsze plaże, zadrzewione campingi — a więc przez Burgas do Sozopola, Primorska w stronę Miczurina położonego niedaleko granicy z Turcją.

Gdy jednak staniemy tuż przed campingiem kategorii „S" **„Kawacite"** lub **„Arkutino"** przekonamy się, że wcale tu nie mniej turystów. Taki sam hałas, gwar, tłok, więc zdesperowani naciśniemy gaz i popędzimy tuż nad brzegiem morza dalej. I wtedy okaże się, że na campingu „Koop" w spokojnej wsi Kiten — tłok wcale nie mniejszy. A w ogóle to informacje podawane w reklamówkach i folderach turystycznych, ba, nawet informacje brane „z pierwszej ręki", tzn. z biur turystycznych w kraju, są, niestety, niepełne, zwietrzałe.

Hasło **„Kiten"** w polskim informatorze zaczyna się: **„W cichej i spokojnej wsi Kiten"**. Prawdopodobnie redaktor tego wydanego w 1976 r. folderu był ostatni raz w Kiten 15 lat temu. Bowiem od jego ostatniej wizyty wybudowano tam m. in. 3 wieżowce, całą dzielnicę domów wypoczynkowych, dwa sanatoria. W centrum ustawiło się wesołe miasteczko, ryczy megafon — szosą w byłej wsi walą takie tłumy ludzi, że zamknięto przejazd.

Im dalej, tym wcale nie mniej tłoczno. Ze wsi **Łozieniec** równoległa do autostrady na **Istambuł** droga prowadzi do czterech campingów. Zatłoczony **„Oazis"** opanowali Czesi — tu znajduje się przedstawicielstwo „Cedoka". Wszystkie informacje są dwujęzyczne — po bułgarsku i po czesku.

W wypełnionym po brzegi **„Jugu"** przeważają namioty i samochody z NRD, Czechosłowacji i Polski.

Jedziemy więc na camping **„Koral"**, który umundurowany portier z „Jugu" wskazał nam jako najmniej zatłoczony. I rzeczywiście, miejsca tu dość — znaleźć je można nawet pod drzewem, ale jest to camping drugiej kategorii. Niezbędne urządzenia sanitarne, studnia na środku placu, umywalnia i zimny prysznic. Kioski: spożywczy i z pamiątkami, kiosk z napojami.

Kolejne zaskoczenie. Z informacji uzyskanych w kraju tuż przed wyjazdem wynikało, że dzienne opłaty za pobyt na campingu drugiej kategorii wynoszą: za rozstawienie namiotu 60 stotinek, parkowanie samochodu 60 stotinek, od osoby dorosłej 60 stotinek, od dzieci 40. Rzeczywistość jest inna. Opłaty za parkowanie samochodu, rozbicie namiotu i od osoby dorosłej wynoszą po 1 lewa, od dzieci do 12 lat — 50 stotinek, za plażę od osoby dziennie po 15 stotinek, dochodzi jeszcze „za strachowka" (nikt nie potrafił mi wyjaśnić co to takiego) — 5 stotinek. Turysta „poinformowany" przez polskie biura podróży i przygotowany na wydatek za pobyt na campingu w granicach do 2 lewa 50 stotinek, uiszcza jeszcze raz tyle. Na campingach I kategorii i kategorii „S" ceny są odpowiednio wyższe.

Liczymy więc pieniądze, obliczamy na jak długo nam starczy 400 lewa na 4 osoby. Przymierzamy się do wydatków. Kilogram chleba kosztuje w Bułgarii od 26 do 44 stotinek, paczka masła w niebieskim opakowaniu 43, jajko 10 stotinek, kg sera białego 1,60 lewa, litr mleka 30 stotinek, mięso 4,60 lewa kg, butelka piwa burgaskiego 21 stotinek, butelka szampana 1,40 lewa, lemoniada od 6 do 30 stotinek, kg pomidorów (w połowie lipca) 1 lewa, kg brzoskwiń 80 stotinek, kg szynki konserwowej 5,50 lewa. Starczyło. Po miesiącu pobytu na campingu „Koral", zostało nam również na pamiątki i upominki.

Łozieniec okazał się przyjemną wsią, z malowniczymi domami ocienionymi winem. Z dobrze zaopatrzonym sklepem, kioskami i restauracją. I to wsią gospodarną. Przy piaszczystym kawałku wybrzeża zorganizowano camping i — aby nań ściągnąć turystów zastosowano ulgi — nie pobierano opłat za ustawienie namiotu. O ile bowiem na campingach administrowanych przez „Bałkanturist" ceny są jednakowe i stałe, to na polach namiotowych urządzanych i prowadzonych przez administrację wsi i miasteczek bądź przez odpowiednik naszego PTTK, ceny są konkurencyjne — a więc odpowiednio niższe.

Mankamentem campingów położonych blisko tureckiej granicy jest nieprzerwana fala turystów, często niestety pseudo-turystów wracających lub udających się do Turcji. Z reguły zatrzymują się na kilka dni — upłynniają to, co nie zdążyli sprzedać w Turcji, a głównie radioodbiorniki, namioty, sprzęt turystyczny kupowany tu od ręki. Przykre, ale prym w tym handlu dzierżą nasi rodacy. Gdy ktoś chce nabyć butlę gazową, kuchenkę, namiot lub poszukiwane tzw. drukowane koszulki — szuka samochodów z naszą rejestracją.

Nasze koszulki z nadrukiem gazetowym są w Bułgarii bardzo modne. Noszą je szczególnie młodzi. Właściwie łódzki **„Express Ilustrowany"**, którym zadrukowane są koszulki — jest jedyną polską „gazetą", którą można tam poczytać. **„Trybuna Ludu"** jest nieosiągalna. Nie odbiera się również polskich radiostacji, nawet na najsilniejszych radioodbiornikach, jedynie rano i w południe, **Radio — Warna** nadaje w języku polskim skrót najważniejszych wiadomości.

Pogoda tego roku płata niespodzianki nie tylko w kraju. W czerwcu i w połowie lipca w okolicach **Burgas** do **Achtopola** padało i to dość często. Gwałtowne burze poprzedzone silnymi podmuchami wiatru przychodziły głównie nocą. Po deszczach i w pochmurne dni, w dni, w które nie można opalać się na plaży, z campingów ruszają sznury samochodów. W pochmurne dni szosy do **Neseberu, Burgas, Achtopola, Bałcziku i Kaliakry** są nieprawdopodobnie zatłoczone. Większość zmotoryzowanych turystów jedzie zwiedzać bliższe i dalsze okolice, a przy okazji kupić mniejsze lub większe pamiątki. Co się zwiedza i co i gdzie kupuje?

Ropotamo — to nazwa rzeki i rezerwatu przyrody o bujnej roślinności. Deltę Ropotamo i rezerwat wodnych lilii zwiedzać można motorowymi łódkami (40 stotinek od osoby). W okolicach Ropotamo, gdzie położone są międzynarodowe campingi „Arkutino", „Lilia", „Kawacite", przemysł turystyczny zwany maszynką do wyciskania pieniędzy działa dość sprawnie. Zwiedzając rezerwat Ropotamo należy uiścić za parking pojazdu, przejazd łódką i wstęp do rezerwatu wodnych lilii.

Sozopol — piękne miasteczko o ciekawej i oryginalnej zabudowie, tarasowo schodzące do morza, z wąskimi, krętymi uliczkami. Najstarsze z dawnych kolonii greckich na bułgarskim wybrzeżu, bo założone przez osadników z Miletu w V w. p.n.e. Kiedyś osada nazywała się Apollonia — od sprowadzonego z Aten wspaniałego, 13-metrowego posągu Apollina. W 72 r. p.n.e. Marek Lucullus zniszczył miasto a rzeźbę wywiózł do Rzymu.

To połączenie ciepłego morza z pomnikami i zabytkami historii, bliskość gór — stanowi właśnie nieprzeparty urok Bułgarii. I serdeczność gospodarzy szczególnie w stosunku do Polaków.

Zwiedza się w **Warnie** — oczywiście — Muzeum Warneńczyka, starożytne termy, rzymską basztę obronną, ruiny Akropolis z IV w., Muzeum Morskie, cerkiewki i kamienny las. Ci, co spędzają urlop w **Złotych Piaskach** — odwiedzają Aładża — Monastyr — pustelnię z przełomu naszej ery z późniejszymi celami pustelników. Ze Złotych Piasków i Warny wyruszają również wycieczki do Kaliakry na skalisty ostrów wrzynający się 2 km w morze. W skale groty i pieczary aż na 4 poziomach. Obowiązkiem jest również zwiedzenie w **Bałcziku** pałacu w stylu orientalnym.

Do dobrego tonu należy odwiedzenie zatłoczonego w sezonie do granic wytrzymałości **Neseberu** — miasta założonego przez Traków, dawnej Mesembrii.

Bardziej wytrwali ruszają na wyprawę do **Achtopolu** dawnego Agathopolis — miasta bogini szczęścia Agaty. Po drodze do Achtopolu przejeżdża się przez rybacką wieś Varvora. Nie ma w niej turystów — tak 20 lat temu wyglądało całe bułgarskie wybrzeże. Tu dopiero nachodzi chwila refleksji i podziwu dla pracy którą wykonali nasi bułgarscy przyjaciele tworząc nowoczesne ośrodki wypoczynkowe.

Upominki i większe zakupy dokonywane są przez turystów nie w domach towarowych Warny i Burgas, ale także dobrze zaopatrzonych kioskach z upominkami „Bałkanturistu", czynnych niemal w każdej wypoczynkowej miejscowości i campingach. Polacy (a także i innej narodowości turyści) kupują zamszowe marynarki — od 45 do 60 lewa, płaszcze skórzane (do 140 lewa), kurtki ze skóry — od 75 do 100 lewa, pokrowce do samochodu (po 60 lewa — z 5 można podobno uszyć kożuch). I także damskie torby skórzane, pantofle, ceramikę.

Ważną sprawą jest znalezienie na campingu odpowiedniego miejsca na rozstawienie namiotu. Nie należy „rozbijać się" pod płotem — na uboczu i nie tuż przy wjeździe. Ci, którzy usadawiają się blisko wjazdu, nie znajdą chwili spokoju, szczególnie w nocy, gdy świeżo przybywający, zmęczeni, rozstawiają namioty właśnie najbliżej wjazdu. Charakterystyczne jest, że na campingach — Polacy, Czesi i Bułgarzy „trzymają się razem". Kradzież na campingu należy w Bułgarii do bardzo rzadkich przypadków.

Zainteresowanie Bułgarią jest coraz większe, właściwie narasta lawinowo. Szkoda, że turyści indywidualni z Polski zdani są niemal wyłącznie na serdeczność gospodarzy — że nie ułatwia im życia żaden przedstawiciel „Sport — Touristu" czy Polskiego Związku Motorowego. Tylko na jednym campingu „Jug" widziałem zagubioną wśród innych informacji maleńką karteczkę, że przedstawiciel Polskiego Związku Motorowego działa w maleńkiej stacji napraw samochodów w Kawacite. Tu wzorem dla naszych biur podróży powinien być „Cedok" i owocny fragment jego bułgarskiej działalności.

U PRZYJACIÓŁ

Według oficjalnych danych UNESCO Związek Radziecki zajmuje czołowe miejsce w świecie pod względem edycji literatury przekładowej: w okresie istnienia ZSRR opublikowano tu utwory pisarzy z ponad stu krajów. Tłumaczono je zresztą nie tylko na język rosyjski, ale także na języki wielu innych narodów Kraju Rad.

W ZSRR edycją dzieł zagranicznych twórców zajmuje się kilkanaście wydawnictw, a wśród nich tak znane jak „Chudożestwiennaja Litieratura", „Progres", „Molodaja Gwardia", i „Dietskaja Litieratura". Pierwsza zakończyła właśnie edycję 200-tomowej serii „Biblioteki Literatury Światowej". 140 tomów poświęconych jest wyłącznie twórcom zagranicznym — od Homera do Hemingwaya. Nakład każdego z tomów wynosi 300 tys. egzemplarzy.

W latach 1946—1972 ukazało się w ZSRR 6305 tytułów książek autorów amerykańskich, 5733 francuskich, 3967 angielskich. W ich liczbie dzieła najróżniejszych literackich i filozoficznych szkół i kierunków. Dla porównania — w tym samym okresie w USA wydano 450 tytułów książek pisarzy radzieckich, w Wielkiej Brytanii 437, we Francji 628.

Radziecką witryną najnowszych osiągnięć w zakresie literatury światowej jest popularny w ZSRR miesięcznik przekładów „Inostrannaja Litieratura" w objętości ok. 300 stron o przeciętnym nakładzie 600 tys. egzemplarzy. Jego ukraińskim odpowiednikiem jest czasopismo „Wseswit".

Na łamach „Inostrannoj Litieratury" drukowane były powieści i opowiadania m.in. Faulknera, Hemingwaya, Dürrenmatta, Sagan, Bazina, i Camusa oraz inne utwory pisarzy ze wszystkich kontynentów. Nie zabrakło także „antypowieści" i „antyteatru" Rob-Grillieta czy Becketta. Nie sposób wprost wymienić wszystkich nazwisk pisarzy zagranicznych, które zaprezentowała dotychczas „Inostrannaja Litieratura" — jest to bowiem bynajmniej nie wyrywkowy przegląd współczesnej literatury światowej. Jak dalece pismo jest w tym zakresie „na bieżąco" może świadczyć fakt, że ostatnio przystąpiło do druku ze wszech miar zasługującej na uwagę powieści — bestsellera „Element niepożądany" Christiana Barnarda, słynnego w całym świecie kardiochirurga.

* * *

Akademia Nauk ZSRR otrzymała od Uniwersytetu Helsińskiego dzieła z prywatnego księgozbioru Michała Łomonosowa. Akt ten był ukoronowaniem ciągnących się wiele dziesięcioleci poszukiwań, uważanej za zaginioną, biblioteki wybitnego uczonego i pisarza.

Poszukiwania prowadzono w miejscowości rodzinnej Łomonosowa, w archiwach Leningradu, Moskwy oraz innych miast. Na podstawie licznych dokumentów oraz źródeł literackich ustalono, że większość książek Łomonosowa powinna znajdować się w stolicy Finlandii w murach tamtejszej Wszechnicy, dokąd zostały przewiezione w 1832 r.

Dzieje spuścizny Łomonosowa są pasjonujące. Księgozbiór i archiwum uczonego nabył faworyt carycy Katarzyny II, hrabia Orłow. Po jego śmierci przeszły one w posiadanie Wielkiego Księcia Konstantego, który umieścił je w swojej rezydencji — Pałacu Marmurowym. Następca Wielkiego Księcia wykazał obojętność wobec bogactwa, które odziedziczył. To oraz szereg innych cennych pozycji przekazał Uniwersytetowi w Helsingforsie (obecnie Helsinki) w 1832 r.

Książki Łomonosowa były rozproszone po wielu wydziałach biblioteki, co utrudniało prace nad ich weryfikowaniem. Wypisując książki z centralnego katalogu, weryfikowano je najpierw z katalogiem Orłowa: tak więc tytuł, autor, język, rok i miejsce wydania.

Pierwszych dwanaście pozycji nie wniosło do poszukiwań nic nowego. W kolejnej zauważono sporządzoną ołówkiem na marginesie notatkę „Dużo o ziemi". Była to praca poświęcona hutnictwu, zaś dopisek został wykonany ręką Łomonosowa, co nie budziło żadnych wątpliwości.

Dotychczas na Uniwersytecie Helsińskim odkryto 57 tomów z charakterystycznymi uwagami Łomonosowa. Zdaniem specjalistów, dalsza penetracja może przynieść równie interesujące wyniki.

KAWA...

Jeszcze do niedawna w Brazylii kawę palono w paleniskach parowozów, żeby nie dopuścić do jej nadprodukcji. Dziś staje się najdroższym w świecie napojem bezalkoholowym. W styczniu 1976 roku na rynku londyńskim tona kawy kosztowała 800 funtów szterlingów. Obecnie ocenia się ją na 2.600 funtów szterlingów za tonę, chociaż w ciągu minionych 17 lat, od 1958 roku do 1975 ceny kawy, praktycznie rzecz biorąc, nie zmieniały się, powodując stałe obniżanie realnych dochodów jej producentów.

Organizacji krajów — producentów kawy, podobnej do OPEC, która by mogła podwyższyć cenę czarki tego „życiodajnego płynu", nie udało się stworzyć. Wyjaśnia to szereg czynników. Po pierwsze — liczba konsumentów kawy jest prawie tak stabilna, jak i ceny kawy (do niedawna), i zwiększa się nie więcej niż o 2—3 procent rocznie. Po drugie — chociaż na międzynarodowym rynku surowców kawa zajmuje, pod względem wielkości transakcji, drugie miejsce po nafcie, to jednak kryzys kawowy można rozpatrywać bodaj jako groźbę zdolną do sparaliżowania ekonomiki krajów zachodnich. Dlatego też — pisze komentator tunezyjskiego tygodnika „Jeune Afrique" — niektórzy amerykańscy kongresmeni, zupełnie bezpodstawnie napomykają o istnieniu „tajnego kartelu" producentów kawy, podsycając tym samym kampanię do jego bojkotu, rozkręconą przez stowarzyszenie konsumentów USA.

Przyczyna obecnej gwałtownej zwyżki cen kawy leży w czym innym: tkwi ona w katastrofach, które dotknęły w 1975 roku niektóre kraje, będące największymi eksporterami kawy, a przede wszystkim Brazylię, która daje 30 procent światowej produkcji ziarna kawy. W lipcu 1975 roku przeżyła Brazylia niebywałe chłody. W ciągu kilku dni przymrozki zniszczyły prawie połowę plantacji. Huragany w Kolumbii, trzęsienia ziemi w Gwatemali i wojna w Angoli dopełniły zniszczeń. I chociaż w innych krajach wielkość produkcji kawy pozostała na tym samym poziomie, albo — jak to miało, na przykład, miejsce w Republice Wybrzeża Kości Słoniowej — zwiększyła się nawet wydatnie, to jednak wydarzenia te można bez przesady nazwać katastrofą. Trzeba trzech, jeśli nie czterech lat, żeby drzewo kawowe zaczęło wydawać owoce. Plantacje, które zostały zniszczone przez chłody w Brazylii w 1975 roku, zaczną owocować nie wcześniej, niż w 1979 roku.

Z początku zwyżka cen kawy była umiarkowana, ale później, kiedy na pokrycie deficytu kraje eksportujące kawę zaczęły sięgać do swoich zapasów, napięcie szybko wzrosło. Najpierw skoczyły ceny na kawę brazylijską, osiągające cenę kolumbijskiego gatunku „Arabica", tradycyjnie najdroższego na rynku światowym. Afrykański gatunek kawy „Robusta", notowany zazwyczaj niżej od „Arabiki", również podrożał. W 1976 roku Afrykanie postanowili wykorzystać, w swoim własnym interesie, rosnący popyt na kawę.

Transakcje zakupu kawy odbywają się z reguły w Londynie i w Nowym Jorku. Przewidując zwyżkę cen, kupcy — hurtownicy i macherzy zawczasu nabywają duże partie kawy i stopniowo rzucają ją na rynek, dopiero kilka miesięcy po zawarciu transakcji, licząc na otrzymanie określonych zysków przy sprzedaży. W konsekwencji tej kombinacji poziom cen rośnie.

W warunkach tej napiętej sytuacji powstałej na światowym rynku kawy w ciągu ostatnich 18 miesięcy, pojawili się na nim także spekulanci — nieprofesjonaliści, zazwyczaj nie zainteresowani w operacjach na rynkach kawy. Prowadzone przez nich na szeroką skalę machinacje mogą sprowokować zniżkę cen, co nastąpiło na przykład w styczniu tego roku. Sądząc, iż ogłoszony — przez stowarzyszenie konsumentów kawy USA — bojkot doprowadzi do obniżenia cen kawy, liczni spekulanci rzucili się jednocześnie do wyprzedaży przechowywanej kawy. W konsekwencji w ciągu 48 godzin cena jej spadła o około 300 funtów szterlingów na tonie.

Czym jest kawa dla miłośników tej używki? Amerykanie, na przykład, konsumują 20 milionów worków kawy (po 60 kilogramów każdy) rocznie, co wynosi średnio około 6 kg ziarna kawy na jednego dorosłego Amerykanina. Licząc po 6 dolarów za kilogram, amerykański miłośnik kawy wydaje na nią 36 dolarów rocznie.

We Francji, gdzie konsumcja kawy jest nieco mniejsza, wynosi bowiem 5,5 kg rocznie na jednego Francuza, jej cena jest niższa niż w Ameryce. We Francji nie ma specjalnego podatku od kawy, a poza tym wchodzi ona w skład „budżetowego zbioru produktów dla jednej rodziny", do tzw. koszyczka gospodyni, którego ceny znajdują się pod kontrolą Instytutu Statystyki. W początkach stycznia 1977 roku zwyżka cen kawy dotknęła także Francję. W sprzedaży detalicznej kawa kosztuje średnio 24 franki francuskie za kilogram. Wydatki mieszkańca Francji na kawę ocenia się średnio na 176 franków rocznie, co stanowi w przybliżeniu 50 procent wydatków Amerykanina. W końcu stycznia br. w porozumieniu z departamentem kontroli cen przy ministerstwie finansów, hurtownicy wywalczyli podwyższenie cen na kawę we Francji w granicach 15—20 procent.

Jeśli pominąć kraje skandynawskie — największych konsumentów kawy na świecie: 11 do 12 kg kawy na jednego dorosłego Skandynawa rocznie — to sytuacja innych wielkich importerów tego produktu w Zachodniej Europie niewiele się różni od sytuacji we Francji. Mówienie więc o kryzysie kawowym jest nie uzasadnione. Jeśli pominąć sztuczne dramatyzowanie sytuacji, to okaże się, że kryzys kawowy jako taki w ogóle nie istnieje, szczególnie na tle ogromnych ekonomicznych problemów, pod którymi ugina się Zachód, takimi jak bezrobocie i inflacja.

Jeśli chodzi o kraje produkujące kawę, to zbiory w Brazylii w 1976 roku, wynoszące około 7 milionów worków (30 procent plonów z 1975 roku), wystarczy zaledwie na pokrycie wewnętrznego zapotrzebowania konsumentów kawy oraz potrzeb brazylijskiego przemysłu przetwórczego. Mimo to udało się Brazylijczykom utrzymać eksport kawy na poziomie 1975 roku. W konsekwencji Brazylijczycy nie tylko wywiązali się ze wszystkich zawartych wcześniej kontraktów, ale w dodatku zwiększyli swoje zyski o około 2,5 raza — z 934 milionów dolarów w 1975 roku, do 2 miliardów 33 milionów dolarów w 1976 roku.

Dochód Kolumbii, o której warto wspomnieć, jest bowiem drugim w świecie „kawowym mocarstwem", wyniósł prawie miliard dolarów, wobec 350 milionów w roku 1975.

Znaczne sukcesy w produkcji kawy w 1976 roku odniosły także kraje afrykańskie, z wyjątkiem Angoli, w której trwała wojna, i Ugandy. Republika Wybrzeża Kości Słoniowej, zajmująca trzecie miejsce w świecie pod względem produkcji kawy, zwiększyła swój eksport. Wspaniałe plony kawy zebrano także w Kamerunie, Kenii, na Madagaskarze, w Tanzanii i Zairze.

Na razie produkcja kawy nie osiągnie normalnego poziomu i na rynkach światowych będzie nadal trwało napięcie. Tymczasem w wielu krajach, znęconych stałym popytem na kawę, obserwuje się niepokojące zjawisko żywiołowego powstawania plantacji kawy. W związku z tym, zwraca uwagę komentator „Jeune Afrique", kiedy w 1980 roku kraje-producenci kawy osiągną, po klęskach 1975 roku, tradycyjnie wysoki poziom produkcji, może się ona łatwo przekształcić w kryzys nadprodukcji ze wszystkimi wynikającymi z tego faktu następstwami: gwałtownym spadkiem cen i obniżeniem dochodów ludności, której egzystencja jest uzależniona od produkcji kawy. Dotyczy to głównie ludności krajów Trzeciego Świata.

JERZY CZECH

DNI „ZŁE" I „DOBRE"?

Niektórzy uczeni doszli do wniosku, że biorytmy człowieka składają się z trzech cyklów: 23-dniowego fizycznego cyklu, 28-dniowego emocjonalnego cyklu i 33-dniowego intelektualnego cyklu. W każdym z tych cyklów połowa dni dotyczy **dni-plus**, a połowa — **dni-minus**.

W 23-dniowym cyklu pierwsze 11 i pół są dniami-plus i mogą być wykorzystane, na przykład, do intensywnych treningów sportowych. Natomiast następne 11 i pół dnia są dniami, w których człowiek łatwo się męczy. Pierwsze 14 dni 28-dniowego cyklu emocjonalnego charakteryzuje zazwyczaj dobry nastrój, a następujące po nich 14 dni — zły nastrój. Intelektualny cykl cechują „ciekawe" i „nudne" dni. Jednak największe znaczenie mają krytyczne dni przechodzenia od dni-plus do dni-minus.

Wszystkie trzy cykle rozpoczynają się w dniu urodzenia człowieka, i od dni-plus. Dzień, w którym następuje „przestawienie" cyklu nosi nazwę dnia „zerowego", lub dnia „krytycznego". Tego dnia, zwłaszcza jeśli jest on „zerowy" dla cyklów: fizycznego i emocjonalnego, mogą się wydarzyć, jak uważają niektórzy specjaliści, wszelkie możliwe nieszczęścia i niepowodzenia. Na podstawie obserwacji 1400 nieszczęśliwych wypadków, jeszcze w latach 30 obliczono, że każdych sześć z dziesięciu ofiar tych wypadków ucierpiało w swoich dniach „zerowych", przy tym 65 procent ofiar poniosło śmierć właśnie w te dni.

Żeby ustalić swoje cykle biorytmów, należy wziąć ogólną liczbę dni życia od dnia urodzenia do pierwszego dnia miesiąca, dla którego ustala się biorytmy i podzielić tę liczbę przez ilość dni w każdym cyklu. (23, 28 i 33). Otrzymane reszty wskażą stan każdego cyklu na pierwszy dzień danego miesiąca.

Wielu uczonych uważa tę teorię biorytmów za antynaukową. Przede wszystkim wskazuje się na niewłaściwe obliczanie cyklów biorytmu od dnia urodzenia, ponieważ płód, w pewnym sensie, jest niemniej żywym organizmem niż noworodek. Podkreślają także, że inne ważne życiowo cykle: np. cykle poziomów zawartości hormonów i cholesterolu nie są związane z czasem urodzenia człowieka. Jeśli chodzi o statystyki nieszczęśliwych wypadków, to bardzo trudno przeprowadzać linię graniczną pomiędzy nieszczęśliwymi wypadkami, które wydarzyły się wyłącznie z winy samych ofiar wypadków, a wypadkami spowodowanymi przez zewnętrzny zbieg okoliczności. Badania statystyczne dotyczące wykrycia roli biorytmów podczas awarii samolotów i samochodów nie wykazały większej korelacji między wypadkami i cyklami biorytmów, chociaż w tych badaniach brano pod uwagę tylko te awarie, które zdarzały się z winy pilotów i kierowców.

(C)

■ SPOTKANIE NA KRYMIE
■ 4 PAŹDZIERNIKA W BELGRADZIE
■ NIESPOKOJNA WYSPA

Tydzień bogaty był w ważne wydarzenia. O trzech z nich będziemy pisać na tym miejscu.

Spotkania przywódców krajów socjalistycznych: — oficjalne i nieoficjalne — są jedną z form oceny sytuacji, wzajemnego informowania się i wymiany doświadczeń. Taki charakter miało również **spotkanie sekretarza generalnego KC KPZR — Leonida Breżniewa z I sekretarzem KC PZPR — Edwardem Gierkiem**, który spędza urlop na Krymie.

Z informacji agencyjnych wynika, że **obaj przywódcy mówili o dwustronnych stosunkach gospodarczych, politycznych i kulturalnych**, podkreślając, że powinny one być maksymalnie wykorzystane w interesie narodów bratnich krajów. Dokonano także wymiany informacji na temat realizacji zadań, wysuniętych przez VII Zjazd PZPR i XXV Zjazd KPZR. Przypadająca w roku bieżącym 60 rocznica Rewolucji Październikowej jest okazją do dokonania przeglądu osiągnięć nie tylko Związku Radzieckiego, ale także Polski Ludowej.

Oczywiście **omawiano również sytuację międzynarodową, a przede wszystkim to wszystko, co może zmniejszyć groźbę wojny.** Obaj przywódcy podkreślili znaczenie dalszych uzgodnionych posunięć państw w celu niedopuszczenia do rozprzestrzeniania się broni jądrowej.

Druga rocznica podpisania Aktu Końcowego KBWE, który jest nastawioną na przyszłość platformą działania wszystkich państw — sygnatariuszy porozumienia, pozwoliła raz jeszcze powtórzyć, że **Polska i Związek Radziecki zdecydowane są kroczyć drogą wytyczoną w Helsinkach i przyczynić się do konstruktywnego przeprowadzenia jesiennego spotkania w Belgradzie.**

Przywódcy obu partii rozpatrzyli też niektóre problemy międzynarodowego ruchu komunistycznego i robotniczego.

Jak zwykle — rozmowy wykazały pełną jedność poglądów na wszystkie omawiane zagadnienia.

Przed chwilą, w kontekście krymskich rozmów, wspomnieliśmy o jesiennym spotkaniu w stolicy Jugosławii przedstawicieli, wyznaczonych przez 35 ministrów Spraw Zagranicznych. Teraz już wiemy, że to **zasadnicze spotkanie rozpocznie się 4 października** i najprawdopodobniej zakończy przed upływem roku. Gdyby jednakże okazało się to niezbędne — istnieje możliwość przedłużenia obrad plenarnych od połowy stycznia do połowy lutego przyszłego roku. Główny cel Belgradu — 77 to: wymiana poglądów zarówno w sprawie realizacji postanowień Aktu Końcowego, jak i polepszenia wzajemnych stosunków, umocnienia bezpieczeństwa, rozwijania współpracy w Europie oraz procesu odprężenia w przyszłości.

Wymienione ustalenia są plonem spotkania przygotowawczego, które — jak wiemy — od czerwca trwało w Belgradzie. Mimo więc trudności wynikających z rozbieżnych stanowisk w toku spotkania — jego **finał otwiera drogę jesiennej zasadniczej dyskusji.** Czy będzie ona łatwa? Z pewnością nie. Czas, jaki upłynął od helsińskiej konferencji, wykazał, że nie wszyscy jej uczestnicy złożyli podpisy pod dokumentem końcowym z wewnętrznym postanowieniem pełnej realizacji zawartych tam postanowień. Najprawdopodobniej niektórzy przyjechali do Helsinek z obawy przed izolacją, przymuszeni ogólnym odprężeniowym klimatem. Mogą zatem w Belgradzie (a słyszymy takie głosy) hamować dalszy rozwój odprężenia. Nie jesteśmy jednak pesymistami, gdyż **sprawa pokoju, bezpieczeństwa i współpracy musi ostatecznie zwyciężyć.** Przecież i spotkaniu przygotowawczemu niektóre koła polityczne nie rokowały pomyślnego finału....

Trzeci temat naszego komentarza łączy się **ze śmiercią prezydenta Cypru — arcybiskupa Makariosa.** Agencje doniosły, że przywódcy czterech największych partii politycznych Greków cypryjskich zebrali się, aby uzgodnić taktykę postępowania. Zgon Makariosa komplikuje bowiem jeszcze bardziej i tak złożoną sytuację wyspy.

Przypomnijmy, że **wyspa jest sztucznie podzielona** i to w ten sposób, że ludność grecka, stanowiąca 80 procent mieszkańców, skupiona jest na południu, zaś ludność turecka zajmuje więcej niż trzecią część terytorium od strony północnej.

Prezydent Makarios na krótko przed śmiercią zapowiedział ponowne skierowanie sprawy Cypru na forum ONZ w nadziei, że uda się znaleźć kompromisowe rozwiązanie. Powtarzał też, że będzie zabiegał o zwołanie międzynarodowej konferencji, aby w jej wyniku zamknąć na sprawiedliwych zasadach wciąż niewygasły konflikt. Kto i czy w tym właśnie kierunku będzie teraz prowadził sprawę dalej? Pytanie musi jeszcze pozostać bez odpowiedzi. Chcemy wierzyć, że śmierć wielkiego cypryjskiego patrioty nie zostanie wykorzystana do pogłębienia konfliktu w tym ważnym strategicznie punkcie świata.

W. SŁAWSKI

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

OGÓRKI

W lasach rosną piękne grzyby. Ludzie na plażach z utęsknieniem wyczekują słońca. Lato tego roku jakieś dziwne, ale to wcale nie szkodzi ogórkom. Amerykanie, z prezydentem na czele założyli stowarzyszenie tych, którzy widzieli latające talerze, a prasa angielska z wielką uwagą zajmuje się kosztami utrzymania rodziny królewskiej i jej dworu, wnioskując, że to całkiem dobry interes.

A propos dobry interes — jeszcze ubiegłego roku Centralny Zarząd Spółdzielni Spożywców „Społem" przykazał na piśmie swoim zakładom gastronomicznym, żeby się nie bawiły groszami — my Polacy lubimy tysiące — tylko zaokrąglały ceny w ten sposób:

„Końcówki od 1 do 49 groszy odrzuca się, a końcówki od 50 do 99 groszy zaokrągla się wzwyż".

W tym jednakże roku zorientowano się w Centralnym Zarządzie, że nie wiadomo, co zrobić z końcówką, która wynosi 50 groszy, opuścić, czy podnieść? Polecono więc stosowanie tak zwanej czwartej zasady Polskiej Normy PN 70/N 62120, która stanowi, że jeśli trafi się 50 groszy na końcu, to trzeba je zaokrąglić:

„...jeśli pierwsza (licząc od lewej strony) z odrzuconych cyfr jest równa 5 i nie następuje po niej żadna cyfra inna niż zero, to ostatnią pozostałą cyfrę powiększa się o jednostkę, jeśli jest to cyfra nieparzysta (zero uważa się za cyfrę parzystą). Ostatnia pozostawiona cyfra w takich przypadkach powinna być parzysta".

Jest to, jak mi się wydaje, typowa łamigłówka do rozwiązywania w letnie dni deszczowe. Nagrodą może być nawet korona brytyjska i tak nikt nie odgadnie, o co tu właściwie chodzi. No, ale zaokrąglić czasem trzeba — w rozsądnych granicach oczywiście — gdyż u nas ze świecą szukać monet jedno-, dwu-, a nawet pięciogroszowych, wydawanie reszty trwałoby jeszcze dłużej, niż wyczekiwanie na obiad w restauracji. Biorąc ten fakt pod uwagę, Wojewódzki Zarząd Spółdzielni Rolniczych w Kielcach wydał swej gastronomii polecenie, żeby cenę dość chodliwego towaru, jakim jest kieliszek żytniej wódki, wynoszącą 7 złotych 47 groszy, zaokrąglić do 8 złotych. Kieleckie restauracje, zajazdy i bary Gminnych Spółdzielni pilnie owego zalecenia przestrzegały i uzyskały w sumie pół miliona nadpłaty, co dobrze świadczy o gorącym stosunku klientów do przetworów z żyta, ale źle o znajomości przepisów, które bezpardonowo złamano. Pół miliona złotych zabrał skarb państwa, a GS przyłapane na gorącym uczynku, musiały zapłacić karę w wysokości połowy owej nielegalnej nadwyżki. Kierownicy restauracji i zajazdów chcieli zwrócić pieniądze klientom, ponieważ ich znają ze względu na stały charakter wzajemnych stosunków, klienci jednak odmówili, ponieważ znają swoje żony.

Wniosek stąd chyba taki, że, jak się chce już tak wszystko na okrągło — koniec bywa żałosny. Nie jestem też pewien, czy przepisy powinny u nas regulować każdą dziedzinę życia, nawet tak intymną, jak stosunek do bufetu. A jednak regulują.

Oto apteka przy ulicy Ozimskiej w Opolu. Chcemy tam oddać butelkę, państwowego formatu butelkę po wodzie mineralnej. Aby to uczynić — musimy podać kasjerce imię, nazwisko i dokładny adres. Dane te wpisuje kasjerka do odpowiedniego kwitariusza, który podpisujemy pierwsi, po nas kasjerka, a po kasjerce transakcję zatwierdza pani magister swoim podpisem. Dopiero wtedy otrzymujemy 2 złote.

Ale to jeszcze drobiazg. Wyobraźmy sobie, że jesteśmy w Sopocie i chcemy dokonać szczerego, bezinteresownego czynu społecznego. W Sopocie, mieście odwiedzanym przez cały bez mała świat. Najpierw otrzymujemy: „Kartę indywidualnego czynu społecznego w miejscu zamieszkania KOS 3". Mnóstwo rubryk w tej karcie, które musimy wypełnić, jeśli wcześniej nie odechce nam się czynu. Podajemy najpierw imię, nazwisko, dokładny adres, wiek i zawód. Następnie zgłaszamy rodzaj czynu, który może być zaklasyfikowany — na przykład — jako samoremont lub odświeżenie, może też podpadać pod estetyzację, a ta rozpada się z kolei na — ukwiecenie, zamiecenie, zasianie, sadzenie, a także mycie użytkowej powierzchni szklanej lub podłóg. Zgłaszający swój czyn może także układać chodniki, a nawet rury, pod warunkiem wszakże, że zobowiąże się do wykonania czynu w określonym terminie, który wolno mu skrócić, przedłużenie natomiast dyskwalifikuje czyn. Zgłoszony w ten sposób czyn wpisuje Komisja Czynów Społecznych KOS 3 do rejestru czynów. Jako odpowiedzialni konsultanci występują w tym niezwykłym korowodzie przedstawiciele KOB. Całość podpisuje przewodniczący Kom-czy-społ., inaczej praca nieważna.

Nie koniec na tym, wprost przeciwnie — to dopiero początek. Teraz komisja sprawdza wykonanie czynu, a Rejon Eksploatacji stwierdza, że zarejestrował zapodany z tamtej strony karty czyn. Następnie bezinteresowny obywatel wypełnia dalsze rubryki: jakie mianowicie zużył materiały, swoje, czy społeczne, jaka miara, wartość, od kogo, kto przyjął. Oczywiście, muszą być załączone odpowiednie rachunki i pokwitowania — wzięcia i zdania. Po sprawdzeniu wykonania oblicza się wartość czynu przy pomocy nowej i kompetentnej komisji. Wartość czynu rozbita jest na materiały i robociznę, zaś chętny do pracy społecznej rozbity na amen. Rubryka ostatnia nosi nazwę — „Decyzje Ostateczne Komisji Czynów Społecznych KOS". Wynika z tego, że obywatel, który chce uczynić coś pożytecznego dla ogółu, musi najpierw założyć sobie biuro i wynająć odpowiednich rzeczoznawców. Musi dlatego, że inaczej nie miałaby czym się zajmować cała armia urzędników. Na razie wypada ich dziesięciu na jednego robiącego łopatą, ale ostatnie słowo jeszcze przecież nie padło.

Urzędnicy od siedmiu boleści uzyskali poważny wpływ nie tylko na czyny społeczne w Sopocie, ale i pracę Ośrodka Badań Rynku w Katowicach. Pod ich właśnie wpływem ta szacowna placówka naukowo-badawcza wzięła na warsztat problem spinaczy biurowych. W wyniku rzetelnych badań, po ostrej i szczerej dyskusji, doszli specjaliści do takich wniosków — cytuję:

„1. Należy na bieżąco doskonalić produkcję spinaczy ze szczególnym uwzględnieniem poprawy sprężystości, wykończenia końcówek oraz zmniejszyć grubość spinaczy...

2. Rozwiązać problem opakowania jednostki sprzedażnej (aktualnie tekturowe pudełko) w taki sposób, aby uniemożliwić rozsypywanie się spinaczy, jak również zastąpić karton grubszą folią lub innym tworzywem".

Następny problem, jaki można by poddać naukowej analizie, to wpływ pieczątki na samopoczucie referentów, ze szczególnym uwzględnieniem pogody lub chmur kłębiastych na obliczu szefa.

Myślę, że ci sami urzędnicy uraczyli nas nowymi nazwami wyrobów, które wzbogaciły ostatnio nasz wewnętrzny rynek. Możemy więc kupić **„Muchobijkę"**, produkowaną w Krakowie przez Spółdzielnię Pracy Wytwórczej Różnej — „Nasza Praca", następnie z polska nazwaną **„Cwibakówkę"** made in **„DOMGOS"**, także pochodzącą z prawie zagranicznej Galicji. Natomiast CHZPIP z Chorzowa rzucił na rynek **„Kipichron"**, a Chorzowskie Zakłady Metalowe — **„Wstawkę z podstawką"**, zaś krakowska „Chemoplastyka" zaoferowała nam to, o co walczyły pokolenia konsumentów — **„Kubek trzyuszny z obciążnikiem"**.

I jak myślicie — czy to, co dotąd napisałem — odpowiada prawdzie? Wszystko wziąłem z naszej prasy, są jednak ludzie, zwłaszcza ci, których działalność przedstawiłem, co prasie nie wierzą. Może mają rację, a może nie.

Przytrafiło się niedawno w Krakowie zderzenie ciężarówki „Star" z autobusem. Oba samochody poszły z dymem. Wypadek relacjonowali trzej reporterzy z trzech krakowskich gazet. I tak „Echo Krakowa" stwierdziło, że zapalił się zbiornik „Stara", cztery osoby zabrano do szpitala, winien kierowca autobusu. Natomiast „Dziennik Polski" twierdził, że zapalił się zbiornik autobusu, kierowca otworzył wszystkie drzwi, do szpitala zabrano trzy osoby. Winien kierowca „Stara". „Gazeta Południowa" poinformowała, że urwał się bak „Stara", do szpitala zabrano dwie osoby, albo trzy, otwarto tylko jedne drzwi, „Star" wymusił pierwszeństwo przejazdu, nie wiadomo, kto winien.

TYDZIEŃ PIOTRA SOKALA

EUGENIUSZ IWANICKI

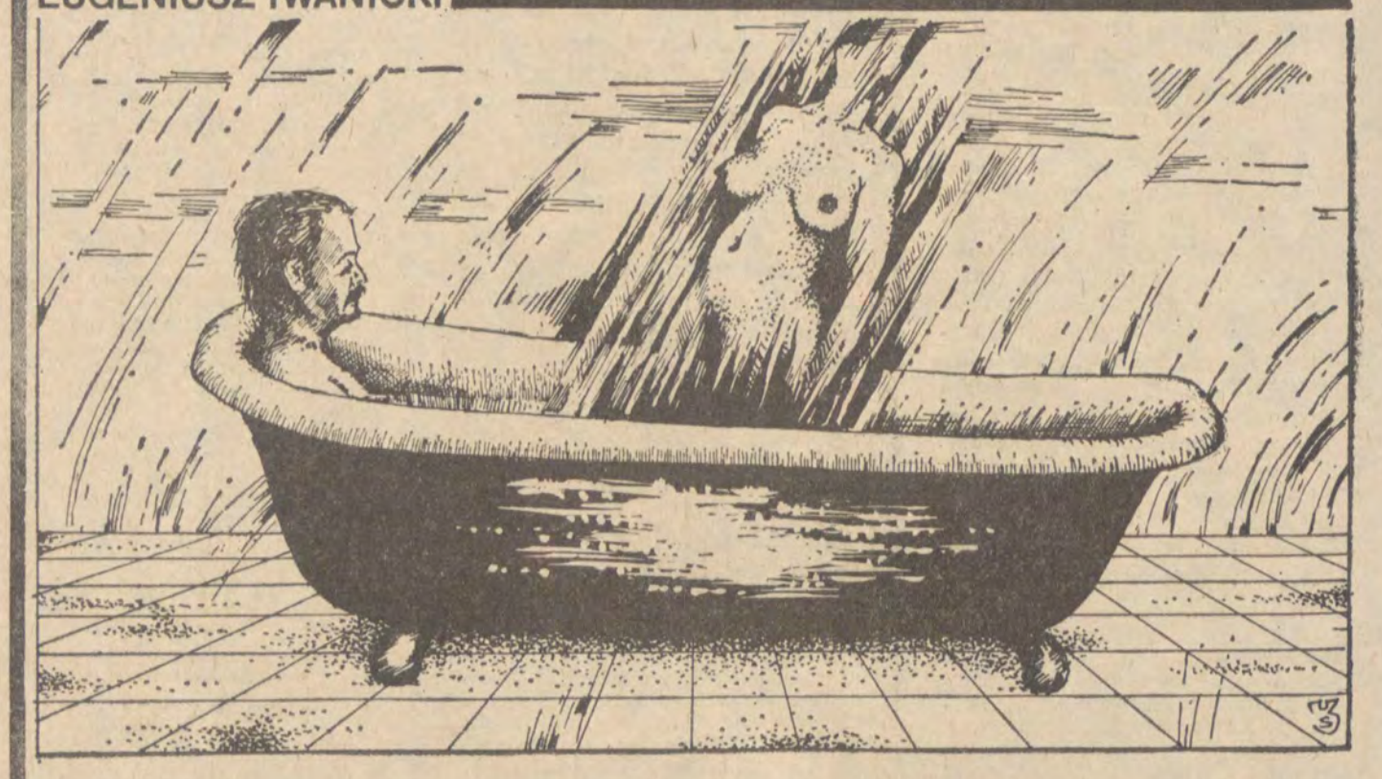

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Słońce zastało nas przy stole. Spojrzałem na zegarek: dziesiąta. Witek, z głową na stole, ciężko oddychając spał mocnym snem. Jego przetłuszczone włosy, wykrzywiona w przymusowym grymasie twarz, wygięte w łuk plecy — stanowiły żałosny obraz człowieka zmorzonego niewygodami podróży i śpiącego w poczekalni dworcowej. By go nie zbudzić, wstałem cichutko i przeszedłem do łazienki. Z lusterka spojrzała na mnie obrzękła, zmięta twarz z oczami obwiedzionymi czerwonym obrzeżem powiek. Zmierzwione włosy sterczały w nieładzie.

Ogoliłem się i rozebrawszy się wszedłem pod prysznic. Strumień wody przyniósł chwilową ulgę, choć sen nie odchodził. Byłem pewny, że wystarczy, bym zamknął oczy, a zasnę natychmiast. Zwiększyłem strumień zimnej wody i przezwyciężając chłód polewałem się z góry na dół i z dołu do góry. Nie myślałem o redakcji, o tym, że dziś miałem jechać do zakładów „Czynu Partyzanckiego" na reportaż, że czekają na mnie jacyś ważni ludzie, że ta wizyta była przygotowywana od paru tygodni. Do diabła — myślałem — świat się nie zawali, jeśli tam nie pojadę. Spowodowałem ostre pogotowie administracji i tyle; nikt z załogi nawet nie zauważy mojej nieobecności.

Kiedy wycierałem się, weszła Inga.

— Ciii — położyła palec na ustach. — Proszę sobie nie przeszkadzać, zmieścimy się.

Zrzuciła koszulę i weszła do wanny. Starałem się nie oglądać. Krople wody odbite od jej ciała padały na moją skórę. W lustrze widziałem jak polewa się wodą, namydla, spłukuje. Jej obecność drażniła mnie coraz bardziej, starałem się o niczym nie myśleć. Wycierałem wodę z ciała chcąc jak najszybciej oddalić się z tego miejsca.

— Plecy — szepnęła. — Proszę wziąć gąbkę.

Podała mi mydło. Zacząłem szorowanie.

Na lewej łopatce miała ciemne znamię wielkości dwudziestozłotówki. Wygięła się łukowato opuszczając nisko głowę. Pod palcami miałem białe, twarde ciało.

— Mocniej!

Ponownie namydliłem gąbkę i przejechałem wzdłuż kręgosłupa, kolistymi ruchami natarłem łopatki, boki, zaokrąglone pośladki. Mimo zmęczenia czułem rosnące pożądanie.

— Proszę się nie odwracać — poprosiłem. — Skończyłem.

Lecz pewnie nie dosłyszała w szumie spadającej wody, bo wyprostowała się i spojrzawszy na mnie roześmiała się rozbrajająco.

— Ach, mężczyźni, mężczyźni, wszyscy jesteście jednakowi.

Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się widzieć tak żółtych włosów porastających wzgórek łonowy. Były gęste, skłębione, mokre.

— Nie obudzi się — kiwnęła w stronę śpiącego za ścianą Witka.

Było niewygodnie, choć Inga starała się jak mogła. W pewnym momencie ukąsiła mnie w twarz: boleśnie, głęboko. Potem opadła na dno wanny i siedziała bez ruchu z opuszczoną głową.

Krew ściekała mi na szyję, jej strumień nie chciał dać się zatamować. Ałun okazał się mało skuteczny. Przezwyciężając ból zalepiłem ranę poloplastrem. Od biedy mgło to sugerować solidne zacięcie się w czasie golenia.

Wyszedłem z łazienki i zacząłem się ubierać. Witek spał. Z ust wyciekała mu ślina i mokrą plamą rozlewała się na obrusie.

Postawiłem czajnik na gazie i podszedłszy do telefonu wykręciłem numer redakcji. Natychmiast zgłosiła się pani Kalina.

— Dzień dobry — powiedziałem cicho. — Mówi Sokal. Proszę powiedzieć naczelnemu lub sekretarzowi, że dziś nie będę w redakcji. Tak, tak, miałem być w zakładach „Czynu Partyzanckiego". Spóźnię się, oczywiście, ale tak się złożyło. Nie, nic takiego, mam gości z Wrocławia, przyjechali nad ranem, więc zanim przygotuję co nieco... Tak, rozumiem. No, skoro nikogo nie ma, to tym lepiej. Jakie zebranie? Ach, nagle! Dobrze, postaram się. Do widzenia.

Inga trzymając koszulę na ręku przeszła obok i zaczęła się ubierać. Była interesująca, lecz już nie wzbudzała we mnie pożądania.

Czajnik wesoło zagwizdał: początkowo był to cichy pomruk, lecz dość szybko zmienił się w zagniewany świst.

Płukałem pod kranem szklanki, a Inga uprzątała ze stołu wczorajsze resztki. Witek obudził się i siedział osowiały, jeszcze nieobecny. Ziewnął kilkakrotnie i powlókł się do łazienki.

— Jeśli chcecie, zostańcie — powiedziałem w czasie śniadania. — Muszę wpaść do redakcji. Jakaś pilna narada czy zebranie. Spotkamy się wieczorem.

— Nie, nie — zaprotestował Witek. — Wytłumacz mi, jak się dostać do Akademii Medycznej.

— Zamierzasz studiować?

— W moim wieku? — skrzywił się fałszywie. — Mam sprawę.

Inga jadła w milczeniu, lecz nie znać było na niej skrępowania. Spoglądała od czasu do czasu na nas w skupieniu i zdawała się być pochłonięta naszą rozmową.

— Ja, widzisz, już nie uwolnię się od swojego zawodu — powiedział nagle Witek. — Czasem myślę, że to, co robię, jest wstrętne, że charakter mojej pracy ma jakiś wpływ na mnie, kształtuje mnie, modeluje, czy ja zresztą wiem, jak to nazwać. Fakt, że nieraz brzydzę się sam siebie. W takich momentach myślę, że jestem jak ten trędowaty. Trzeba nielada odwagi, by mnie polubić, nielada, mówię wam.

— Zawsze ktoś taki się znajdzie...

— Myślisz o niej? — wskazał głową Ingę. — Ona jest taka jak ja, może jeszcze gorsza. Człowiek po śmierci staje się kupą mięsa i niczym więcej. Ona zabija życie, rozumiesz? Życie, które już jest, a jeszcze go nie ma. To bardzo okrutna kobieta.

— Przesadzasz — powiedziałem. — Nie jest aż tak źle.

— Nie znasz jej. To zła i sentymentalna kobieta. Ma w sobie dużo zwierzęcości. Gdybyś raz z nią spróbował, przekonałbyś się, jak jest zaborcza, zachłanna i obojętna.

Inga milczała. Jej twarz nie wyrażała ani gniewu, ani pogardy. Jadła ze spokojem człowieka odżywiającego się racjonalnie.

— Nalej po jednym — powiedział Witek. — Może nasze następne spotkanie będzie za drugie dziesięć lat.

— A twoje serce?

— Diabli z sercem. Jeśli się przekręcę, to wreszcie ten stary pedał z prosektorium będzie miał wątpliwą przyjemność mnie pokroić.

— Co za pedał?

— Pamiętasz Czajkowskiego? Doktor Czajkowski, taki nerwowy chuderlak?

— Nie pamiętam.

— Może to i lepiej. Nieważne.

Wódka była ohydna, czułem wzbierające mdłości. Dopiero po chwili rozpoczęło się jej zbawcze działanie.

— Okropna! — powiedziałem. — Kac jest męczący, lecz pierwszy kieliszek po pijaństwie jest torturą.

— Nic innego nie wymyślono.

— Niestety.

Kiedy wyszliśmy, na ulicy było chłodno. Pomimo słońca czuło się jeszcze resztki zimy. Spotykani przechodnie nosili kożuchy i grube zimowe płaszcze. Tylko chłopcy jeżdżący na wrotkach po asfalcie, byli w samych kurtkach i swetrach.

— Najlepsza byłaby taksówka — powiedział Witek. — Szybko i bez błądzenia.

— Postój jest obok, może któraś zabłądzi w tę stronę.

Milczenie Ingi przestało mnie intrygować. Początkowo byłem nawet o to zły, lecz w końcu przyznałem jej rację. Bierność w tej sytuacji była najszczęśliwszym wyjściem. W słonecznym świetle jej biała twarz, jasne brwi i rzęsy umalowane niedbale, włosy złocące się pod chustką — wszystko to było mi obojętne i bardzo dalekie. Jednakże gdzieś w głębi pragnąłem, by ta kobieta została, na powrót znalazła się w moim mieszkaniu, by zaczęła należeć do mnie. Witek miał rację, w jej obojętnej urodzie było coś pociągającego, jakaś odwieczna tajemnica kobiecości, którą pragnie się zgłębić, a która oddala się z chwilą naszego do niej zbliżenia. Patrząc na jej twarz zwróconą w stronę biegnącej łukiem ulicy, mówiłem w duchu: zostań! Zostań ze mną, Ingo, nie pozwól nam się zgubić. Zamiast tego jednak mówię:

— Autobusem będziemy szybciej, stąd do akademii niedaleko. Pojedziemy razem, moja redakcja mieści się parę ulic dalej.

Zawracamy w stronę przystanku autobusu pospiesznego linii B, na którym o tej porze tłoczy się grupka zniecierpliwionych ludzi.

KONIEC

CAMPING

Ewa Szumańska — prozaik, dramaturg, scenarzystka filmowa, a od kilkunastu lat również redaktor w rozgłośni wrocławskiej Polskiego Radia, jest autorką m. in. „Przygody w Lagos", „Czekania na pilota" i „Blizny". Obecnie ukazała się jej kolejna powieść pod aktualnym, wakacyjnym tytułem „Camping". Problem, jaki porusza w niej Szumańska nie jest nowością w literaturze. Marzenia o powrocie do natury, o życiu wyzwolonym spod wpływu i uwarunkowań, jakie niesie ze sobą cywilizacja, nurtuje ludzi od dawna. Bohaterowie powieści Szumańskiej, młode małżeństwo, przeżywające nie tyle jakieś konflikty, co popadające powoli w nudę, przyzwyczajenie i narastającą obojętność, ucieka przed cywilizacją i trafia na dziwny camping. Wakacje przemieniają się powoli w wieczne wakacje, ludzie z różnych krajów i w różnym wieku żyją tam niemal w idylicznej wspólnocie. Nie działa telewizja ani radio, wiadomości ze świata nie mącą wspaniałej radosnej atmosfery. Znikają wszelkie zakazy i prawa moralne rządzące współczesnymi społeczeństwami, wspólnota dotyczy także sfery erotycznej. Niestety, te wydawałoby się wieczne wakacje nagle się kończą. Ludzie, którzy żyli na campingu w jednej wielkiej rodzinie, zaczynają znów odgradzać swoje namioty od namiotów sąsiadów, znów zaczyna działać prawo własności. Wreszcie wszyscy w pośpiechu opuszczają camping. Powrót do natury był możliwy tylko na pewien czas.

Ewa Szumańska „Camping". Czytelnik, W-wa 1977, str. 173, cena zł 16.—

O ZIOŁACH I ZIELARSTWIE

O pożytku, jaki wynika z picia wywarów ziołowych nie potrzeba chyba nikogo przekonywać. Najczęściej zaopatrujemy się w zioła w sklepach „Herbapolu" i nawet nie bardzo wiemy, jak wygląda np. dziurawiec, piołun albo żywokost. Tylko nieliczni potrafią napotkane w lesie albo na łące „zielsko" nazwać tak, jak trzeba i nieliczni chyba zbierają zioła na swój prywatny użytek. Nie będziemy wprawdzie namawiać czytelników, aby nagle przestali łowić ryby i zbierać grzyby, a poświęcili się pasji zbierania ziół. Bo, po pierwsze, trzeba się na nich doskonale znać, po drugie — wśród roślin wiele jest również trujących, więc o tragiczny wypadek nietrudno. Po trzecie — wiele roślin jest pod ochroną i zbierać ich nie wolno. Wszystkim jednak, którzy chcieliby trochę się poduczyć z dziedziny „polska flora", którzy dla osobistej satysfakcji chcieliby umieć nazwać napotkaną po drodze roślinę, odsyłamy do książki dr M. Polakowskiej „Leśne rośliny zielarskie". Można z niej się dowiedzieć wiele o drzewach krzewach i roślinach, które zawierają substancje cenne dla zdrowia. Można z niej nauczyć się szacunku dla przyrody, którą często bezmyślnie niszczymy, a która przecież — wiedzieli już o tym doskonale nasi przodkowie, nie tylko cieszy nasze oczy, ale jakże często pomaga w naszych kłopotach ze zdrowiem. Toteż, jeśli mielibyśmy w naszej wakacyjnej lekturze wybierać np. między bardzo kiepskim „kryminałem" „Alicja nr 3" Zeydlera-Zborowskiego a książką „Leśne rośliny zielarskie", stanowczo polecamy tę drugą. Naprawdę warto ją znać.

Dr M. Polakowska „Leśne rośliny zielarskie", Państwowe Wyd. Rolnicze i Leśne, W-wa 1977 r., str. 266, cena zł 40.—

JANKO Z CZARNKOWA

„Janko z Czarnkowa, Jan Czarnkowski (1320—87), kronikarz; archidiakon gnieźnieński, podkanclerzy koronny od 1364; zaufany króla Kazimierza Wielkiego; po śmierci króla usunięty z urzędu za próbę wykradzenia insygniów królewskich dla jednego z przeciwników Ludwika Węgierskiego; od 1376 pisał kronikę będącą pamfletem dla przeciwników politycznych autora, ale i źródłem dla okresu 1333—84".

Tyle, a więc niewiele wiadomości możemy znaleźć o Janku z Czarnkowa w encyklopedii. Znacznie więcej w opublikowanej obecnie przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą książce Stanisława Helsztyńskiego „Janko z Czarnkowa". Jest to jak do tej pory jedyna próba popularnego, przeznaczonego dla odbiorców w różnym wieku, przedstawienia postaci wybitnego polskiego kronikarza, a w swoim czasie również liczącego się polityka. Opowiada o nim Świętosław, fikcyjny narrator, który w książce Helsztyńskiego pełni rolę sekretarza Janka z Czarnkowa.

Wśród bibliografii, z jakiej korzystał autor pisząc swoją książkę o średniowiecznym dziejopisie, nie zabrakło oczywiście kronik Janka z Czarnkowa. Ich fragmenty znajdziemy również w opowieści Świętosława, która poza bardzo plastycznie przedstawioną postacią Janka z Czarnkowa ukazuje również podłoże polityczne epoki Kazimierza Wielkiego, Ludwika Węgierskiego.

Stanisław Helsztyński „Janko z Czarnkowa", LSW, W-wa 1977, str. 251, zł 35.—

ZROZUMIEĆ INDIE

W serii „Kontynenty" Książki i Wiedzy ukazała się książka Ryszarda Piekarowicza, długoletniego korespondenta PAP w Azji Południowej i w Indiach. Ryszard Piekarowicz obecnie również przebywa w Indiach jako korespondent PAP.

Swojej książce dał on motto wzięte z „Geografii" Strabona z 20 roku naszej ery.

„Opowiadań o Indiach musimy słuchać z pobłażaniem, gdyż nie tylko kraina ta leży bardzo daleko ale również ci, którzy ją widzieli, obejrzeli tylko pewne jej części, a większość tego, co nam mówią, znają wyłącznie ze słyszenia".

Ryszard Piekarowicz sam stwierdza, że „zrozumieć Indie, to prawie tyle samo, co zrozumieć świat". Indie bowiem ukazują się w wielu postaciach. Są Indie turysty, są Indie przemysłu, 6 milionów robotników i miliona inżynierów, są Indie, które mają elektrownie atomowe i przeprowadzają pokojowe badania nuklearne. Ale są też Indie 560 tys. wsi i 480 milionów chłopów. Są Indie parlamentu i anglojęzycznej prasy. Są Indie „niepodzielne" — a więc tych, którzy chcieliby wchłonąć Pakistan i Bangladesz. Są Indie muzułmanów i hinduizmu. W Indiach produkuje się laery i maszyny elektroniczne, ale też wierzy się w cudotwórstwo joginów.

Jak więc zrozumieć Indie?

Ryszard Piekarowicz pragnie swoją książką przybliżyć polskiemu czytelnikowi ten kraj, daleki i tak bardzo różny a skomplikowany. Nie zapewnia, że po tej lekturze czytelnik będzie już wszystko rozumiał, ale chciałby go zachęcić do interesowania się Indiami, do śledzenia tego wszystkiego, co tam się dzieje, do obserwowania przemian, jakie tam zachodzą. Bo Indie, choć uwikłane w wewnętrzne konflikty, borykające się z wewnętrznymi sprzecznościami, są ważnym czynnikiem wpływającym na życie polityczne Południowej Azji.

Ryszard Piekarowicz — „Zrozumieć Indie", Książka i Wiedza, Warszawa 1977, str. 458, cena zł 50.—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

DUDEK, CZYLI UPUPA EPOPS

Przed trzema laty ukazała się znakomita antologia **Ryszarda Marka Grońskiego.** „Od Stańczyka do STS-u" — przegląd polskiej satyry z lat 1944—1956. W tym przedziale czasu nie mieścił się niestety kabaret „Dudek", który powstał — jak wiadomo — 13 stycznia 1965 roku. A swoją drogą marzy mi się kolejna książka Grońskiego o historii polskiej satyry, tym razem z dwudziestolecia 1956—1976. Autor ten, z wykształcenia historyk, z talentu poeta, ze sposobu widzenia satyryk — jest jak najbardziej powołany do tego, aby zamknąć w syntezę dzieje twórczości zrodzonej w przewrotnym dźwięku dzwoneczków stańczykowskiego kaduceusza.

Jeśli taka książka powstanie, a wierzę, że powstanie i — co ważniejsze — zostanie wydana, poczesne w niej miejsce zajmie dziwny ptaszek zwany po łacinie Upupa epops. Ptaszek ten, jak podaje encyklopedia, bardzo rzadki w Polsce, należy do gatunków chronionych. Po polsku nazywa się dudek.

W kawiarni **„Nowy Swiat"** w Warszawie, zagnieździł się 13 stycznia 1965 roku i dziesięć lat później — 13 stycznia 1975 roku zahukał po raz ostatni. Czyli przeszedł do historii polskiego kabaretu i polskiej satyry.

Skąd dla kabaretu nazwa **„Dudek"?** Pewnie stąd, że jego twórca i szef, **Edward Dziewoński,** tak jest nazywany przez przyjaciół. A może stąd, że Upupa epops należy do ptaków chronionych?

Zanim jednak **„Dudek"** zajmie poczesne miejsce w antologii polskiej satyry lat 1956—1976, **„Polskie Nagrania"** wydały album płytowy z fragmentami „Dudkowych" programów. Kiedy prasa podała, że z tłoczni **„Polskich Nagrań"** schodzi taki szlagier — momentalnie w księgarniach i sklepach muzycznych zaczęto się zapisywać „na Dudka" zupełnie jak na małego Fiata. Na bazarach natomiast album można było nabyć po cenach ekspresowych.

Oddajmy jednak głos **Edwardowi Dziewońskiemu,** który tak pisze na okładce albumu: **„Dudek" był przede wszystkim kabaretem aktorskim, który w oparciu o dobre teksty i dobrą muzykę starał się być śmieszny, złośliwy, czasem mądry i zawsze sympatyczny. Zdobycie biletu do „Dudka" było nie lada wyczynem, a prasa pisała o nas, z wyjątkiem jednego (siódmego) programu, który nam się nie bardzo udał — niezwykle pozytywnie (...) „Dudek" dał dziewięć programów. Odwiedził wszystkie większe polskie miasta, dwa razy wyjeżdżał do Ameryki..."**

No cóż, zdobycie albumu z nagraniami kabaretu jest nieco łatwiejsze niż niegdyś zdobycie biletu, za to mamy ponad dwadzieścia piosenek, skeczów i monologów — nie na raz, ale na z a w s z e. A przecież każdy, kto choć raz słyszał klasyczny tekst Konrada Toma, wie, że można tego słuchać wielokrotnie, wciąż się bawiąc.

Pamiętacie? **„Jest tak. Frydman ma weksel Szapira z żyrem Glasa i windykator jest Barunsztajn. On daje 20 procent, franco, loco, towar jest u Guttmana. Tylko ten towar jest zajęty przez Holzmana z powodu weksel Rojzberga. Za ten weksel Rojzberga można dostać gwarancję od jego teścia Rozencwajga, tylko on jest przepisany na Rozencwajgową, a Rozencwajgowa jest chora..."**

Ale oprócz tej kabaretowej „retro-klasyki" są w albumie **„Polskich Nagrań"** sprawy nam bliższe. „W Polskę idziemy" — piosenka Młynarskiego i Wasowskiego w kapitalnym wykonaniu Wiesława Gołasa, szlagier jednego z festiwali opolskich „Przyjdzie walec i wyrówna" — tej samej spółki — piosenka, której refren wszedł do skarbnicy potocznych porzekadeł...

A zresztą! Przecież kabaretu nie da się opowiedzieć, trzeba go zobaczyć. Nie żyjemy jednak w epoce videokaset, więc pozostaje nam album płytowy „Polskich Nagrań". Nie mówi on o „Dudku" wszystkiego, to pewne, ale daje w y o b r a ż e n i e, jakim zjawiskiem był w historii polskiego kabaretu dziwny ptaszek zwany Upupa epops.

WIDOK

ŻYCIE UMYSŁOWE

JAK SIĘ KOMU ŻYJE?

Kolejarze utrzymują, że miodu to tylko brakuje urzędnikom na państwowych etatach. Urzędnicy wskazują palcem na kadry zatrudnione u „Beyer'a" i w „BASF-ie". Tam dopiero koszą. Byle gówniarz a na urlop to już leci do Kanady albo na Filipiny na „Filipinki". Chemicy pokazują znów na chłopstwo. To guzik co my zarabiamy. Ta dzisiejsza arystokracja to panowie farmerzy. Bauerom nigdy jeszcze nie żyło się tak dobrze. Mieszkają sobie w sadach i ogrodach. Oddychają świeżym powietrzem. A podatku płacą najwyżej 200 marek miesięcznie. Tyle płacą co pierwsza lepsza stenotypistka. Żyją naszym kosztem. A jacy chciwi na fenigi. Wszystkiego im mało.

Jak to jest naprawdę?

Przekonał się o tym na własnej skórze Horst Unger. Tak się złożyło, że farmer, znajomy Ungera, rozchorował się. Więc Unger poprosił w mieście o urlop. Postanowił przez miesiąc bauera w robocie wyręczyć. Przecież szkoda by było, żeby ziemia się marnowała. To gospodarka jak się patrzy. Pod Hamburgiem to już cały majątek. Słowo się rzekło, kobyłka u płota. Horst Unger zabrał się ze swą młodą żoną ochoczo do dzieła.

Rychło jednak otrzeźwiał.

Do licha, przecież to nie robota tylko harówa. Szlak by to trafił. Traktor traktorem, ale samo nic się nie zrobi. Bez ręki człowieka tego interesu się nie ruszy. Zrywać to już się trzeba z przysłowiowym pianiem koguta. Już o piątej nad ranem trzeba bydło nakarmić, wydoić, oporządzić, siano rozrzucić. Nim się kto obejrzał przeleciały na tej robocie 3 godziny. A tuż obok w chlewni kwiczało 70 wieprzków. To nie w kij dmuchał. Cóż to za nienażarte bydlęta.

Krótki rachunek.

Jedno wiadro śruty dla kur, 10 wiader mieszanek dla świń. Teraz mlecznice, jałówki, cielaki, codziennie trzeba im podrzucić 7 cetnarów buraków, jeszcze ziarna, jeszcze słomy, jeszcze 2 cetnary śruty z mieszankami. O 13 obiad. Krótka pauza i znów ten sam młynek od początku. Obora, chlewnia, kurniki. A tu pola czekały na obrobienie. Gnój czekał na wywiezienie. Ziemniaki czekały na wysadzenie. Ziemi oszukać się nie da. Trzeba tyrać i już.

Kiedyś po niemieckich wioskach bawiono się w „chłopa, kupca i szlachcica". Chłop występował zawsze w roli „Der Dumme", zakutej pustej pały. Horst Unger zrozumiał w czym rzecz. Bo istotnie trzeba nie mieć wszystkich w domu, żeby robić po 14 godzin dziennie za marne nad wyraz wynagrodzenie. I znów krótki rachunek. Za litr mleka chłop w RFN otrzymuje 50 fenigów, na jajku zarabia 3 fenigi, na cielaku 200 marek. Horst Unger wyliczył, że wielohektarowe gospodarstwo przyniosło w roku ubiegłym ze sprzedaży jaj, mleka, cieląt i tuczników 25 495 DM. Wydatki na zakup nawozów, ziarna siewnego, sprzętu, na ubezpieczenia i weterynarza wyniosły 20 350 DM. No tak, zarobek pozostał. Ale wprost śmieszny.

Dziwić się potem, że kto młody, bardziej bystry i zaradny wypina się na rolę i zmiata czym prędzej do najbliższego miasta? Kijem nie napędzisz, młodzi uciekają do przemysłu. Jak to nie uciekać, kiedy we wsiach pod Hamburgiem chłop nie ma żadnych szans znalezienia młodej no i ładnej żonki, która by zechciała wziąć to na swoje barki. Kijem skrzypców nie nastroisz. Jak dziewczyna nie chce, to dziś niczym nie zmusisz. Jeszcze czego. Na głowę nie upadła. Chłopki w wieku 40 lat wyglądają od tej roboty jak staruszki.

Więc komu dobrze się żyje w RFN?

Wtajemniczeni twierdzą, że wiatr chwycili w żagle dentyści. To oni koszą od samego środka. Z jamy ustnej bliźniego porobili sobie fabryczki pieniędzy. Nawet taki sobie dentysta o miernej raczej klienteli wyciąga po 125 000 DM rocznie, to jest jakieś 50 000 dolarów. Oni są teraz na wierzchu. Oni i chirurdzy. Możliwe. Co jak co, ale dentystom to już rzeczywiście wszędzie się wiedzie, że daj nam Boże wszystkim.

HARHARA

PROPOZYCJE

AUTOSTOPEM BLIŻEJ

Społeczny Komitet Autostopu był uprzejmy nadesłać sporą paczkę materiałów, z których dowiedziałem się, że — po pierwsze — autostop ma już 20 lat, a — po drugie — że „Odgłosy" w dwudziestoleciu autostopu mało o nim pisały. Trzeba więc nadrobić zaległości, tym bardziej że polski autostop jest czymś ciekawym i ma bogatą oraz różnorodną historię.

Zaczęło się to wszystko w 1958 roku... W tym roku urodził się bowiem autostop ujęty w ramy organizacyjne, nie od razu doskonałe. Ale tak naprawdę, to wszystko zaczęło się znacznie wcześniej i wcale nie u nas. Zresztą ta pierwotna forma „autostopu" żyje i funkcjonuje do dziś, chociaż nazywa się „jeżdżeniem na łepka", „braniem na łepka", „okazją". Autostop zrodził się z tego, że ludzie podwozili przygodnie napotkanych przy drodze wędrowców. Jedni dziękowali za podwiezienie dobrym słowem, inni dawali „dychę" na benzynę.

W 1957 roku grupa studentów podróżowała po Polsce „okazją" i wysyłała listy do „Dookoła Świata", do KG MO i do ówczesnych władz sportowych, postulując nadanie podróżowaniu „okazją" oficjalnej formy i ujęcia tego „ruchu" w pewne ramy organizacyjne. W 1958 roku właśnie narodził się taki, organizacyjnie ujęty w pewne ramy autostop. Powołano Społeczny Komitet Autostopu, który kieruje nim do dziś, choć się ludzie pozmieniali i życie mu trudności i przeszkód nie szczędziło.

Inicjatywa okazała się bardzo pożyteczna, chociaż wielu rodzicom nabawiła trosk i niepokojów. Ale którzy rodzice lubią, jak im dzieci spod ich opieki się wyrywają. Młodzieży natomiast autostop dał możliwość popróbowania samodzielności, nauczył dawać sobie radę w różnych okolicznościach, poznawać ludzi, a przede wszystkim dał ogromną szansę p o z n a n i a własnego kraju. Wychodząc na drogę młody człowiek — choć autostopem jeździli też ludzie poważni i nawet zaawansowani wiekiem — miał pewien cel, chciał jechać nad morze, w góry, do Krakowa, Zakopanego, lub do Szczecina, ale trasy nie wybierał, trasę dyktował mu przygodnie spotkany kierowca, który chciał go podwieźć jakiś tam kawałek. I tak zaczynała się przygoda. Nowe miasta, gdzie trzeba było „przesiadać się" i szukać nowej okazji, nowi ludzie, nowe sprawy. Samo życie.

A gdy włosy się przerzedzą, oczy zaczną gasnąć i brzuch będzie się rysował okrągłością pod marynarką, to wtedy powrócą wspomnienia, przed oczyma staną obrazy dawnych tras, ludzi na tych trasach spotykanych, zaszumi w uszach wiatr, piosenka się przypomni, którą śpiewało się w rowie, oczekując na samochód, który chciałby zabrać dalej... I zatęskni człowiek któregoś dnia nad biurkiem, maszyną, stołem kreślarskim, zatęskni za zmęczeniem, za deszczem, za kurzem, ale czasu zbraknie, aby znów ruszyć na trasę, a może i odwagi.

Któż nie podróżował autostopem? Proszę nie myśleć, że autostop jest tylko dla młodych, dla uczniów, czy studentów. Nie, z książeczką autostopu wędrował dr Aleksander Melech z Bydgoszczy, senior polskiego i światowego autostopu, bo liczący sobie 95 lat. Książeczką machał na drodze 88-letni Ryszard Niwiński z Wrocławia, 74-letni inżynier Julian Łukaszewicz z Łodzi, 70-letnia nauczycielka Waleria Sokolińska z Warszawy. Autostopem wędrował po Polsce profesor ekonomii z Krakowa, wędrowali nauczyciele, lekarze, inżynierowie, rolnicy, ekonomiści, artyści, adwokaci, dziennikarze, oficerowie i żołnierze WP oraz funkcjonariusze MO, a także kierowcy samochodów, którzy w ten sposób spędzali swój urlop. Autostopowicze w większości to mężczyźni — 80 procent. Wędrują różnie: samotnie, we dwójkę, w trójkę, w liczniejszej grupie i rodzinnie. Autostopem po Polsce podróżują też cudzoziemcy.

Był w historii autostopu rok 1960, który organizatorzy sami nazywają „czarnym rokiem". Wtedy to przylgnęła do autostopu zła sława. W tym to roku ruszyły na drogi polskie grupy młodzieży, której w głowie było nie poznawanie kraju a rozrabianie, szukanie okazji do wygłupu, łatwego zdobycia pieniędzy. Wtedy to autostopowicze popełnili około 300 wykroczeń. Ale — jak wykazały badania z roku 1960 — w szerokiej opinii, nie wywołało to zbytniego wrażenia. Tylko 1,9 procent badanych wyraziło się o autostopie „źle", 25,5 procent — „raczej dobrze", a 69,5 procent — „dobrze" W następnych latach zaostrzono wymagania wobec uczestników autostopu i tak zła sława przeminęła, poszła w zapomnienie.

Piszę o autostopie trochę późno, bo już u schyłku lata, ale nie wyrzucam sobie tego jako że autostop nie kończy się na swoim 20-leciu. W przyszłym roku ludzie z książeczkami autostopu znów pojawią się na polskich drogach, a kto jeszcze ma czas, komu zostało coś z urlopu, z wakacji, to i jeszcze w tym roku zdąży na kilka dni „ruszyć w Polskę". Zawsze warto bo to, że autostopem bliżej, wcale nie jest pustym hasłem. Autostopem bowiem łatwiej poznać kraj i ludzi, a jeśli nawet podróż trochę trwa, jeśli trzeba posiedzieć w rowie i poczekać na tego kierowcę, co znajdzie miejsce w samochodzie i chęć na wzięcie autostopowicza, to czas się nie dłuży i o przygodę łatwo.

Wesołej podróży!

MARCIN RODAK

magazyn

Foto: Archiwum

CHARAKTER I GWIAZDY

BYK

Czy gwiazdy mogą pomóc w znalezieniu idealnego partnera, w poznaniu własnych możliwości, słabych i mocnych cech charakteru? Dziś odpowiadam BYKOM.

BYK (urodzeni między 21 kwietnia a 21 maja) — znak budowniczych i wytwórców.

CECHY GŁOWNE: zawziętość, nieustępliwość, solidność, systematyczność, wytrwałość, częste zdolności muzyczne.

PLANETA: Wenus, KOLOR: niebieski, KAMIEŃ: agat, szmaragd, METAL: miedź.

CHARAKTER: podstawą jest niezachwianie, wytrwałość w obliczu przeciwieństw, spokojny upór w trudnych sytuacjach. BYK umysł ma metodyczny. Ceni porządek i systematyczność. Jego praca przynosi najlepsze efekty, gdy inspirowana jest... miłością. BYK twardo stąpa po ziemi, jego marzenia rzadko są nierealne, wie czego chce i czego oczekują od niego inni. Planeta WENUS często sprowadza na BYKÓW natchnienie i umiłowanie sztuk pięknych, muzyki i poezji. Prawdziwy przedstawiciel tego znaku interesuje się przynajmniej jedną z tych dziedzin.

BYK zdolny jest do wiernego, trwałego uczucia. Kobieta spod tego znaku jest zazwyczaj doskonałą żoną i matką.

CHARAKTERYSTYKA ZEWNĘTRZNA: mężczyźni spod znaku BYKA są mocnej budowy (często sprzyja ona nadwadze!). Mają kwadratową głowę, gęste ciemne na ogół włosy, ciemne oczy, grubą szyję i grubą dolną wargę.

Kobiety spod znaku BYKA są również solidnie zbudowane, odznaczają się pokaźnymi biodrami i biustem. Mają wyraźnie zarysowane brwi, zdecydowany wyraz twarzy, mięsisty nos i zmysłowe usta.

IDEALNYMI PARTNERAMI DLA PANÓW spod znaku BYKA są:

— w seksie: Byk, Panna, Waga, Strzelec,

— w miłości i małżeństwie: Rak, Panna, Koziorożec,

— w interesach: Rak, Panna, Koziorożec i Strzelec,

— w przyjaźni: Rak, Panna, Bliźnięta i Waga.

IDEALNYMI PARTNERAMI DLA PAŃ spod znaku BYKA są:

— w seksie: Byk, Panna, Skorpion, Ryby,

— w miłości: Rak, Panna, Koziorożec,

— w małżeństwie: Rak, Panna, Koziorożec i Waga,

— w przyjaźni: Rak, Panna, Bliźnięta, Koziorożec i Strzelec.

PORADNIK GWIEZDNY DLA PAŃ spod znaku BYKA:

— Panu spod znaku BYKA będą odpowiadać takie jej cechy jak: zręczność w gospodarstwie domowym (bo nawet większą liczbą gości nie przerazi się) i porządek w sprawach finansowych.

Oboje lubią okazywać swoje uczucia. Jednak jego upór, podejrzliwość i zazdrość mogą prowadzić do gwałtownych spięć.

Ze względu na podobieństwo charakterów, tak zalet jak i wad związek BYKÓW jest bądź doskonały, bądź katastrofalny.

— Panu spod znaku BLIŹNIĄT podobać się może jej talent organizacyjny i umiejętność prowadzenia domu. Toteż chętnie będzie u niej szukał schronienia w złych chwilach. Jednak jej cechom typowej „kurki domowej" przeciwstawia na ogół bardziej towarzyski tryb życia, co może zagrozić temu związkowi.

— Mężczyzna spod znaku RAKA może dać odczuć pani spod znaku BYKA, że jest ona najważniejszą sprawą w jego życiu. Będzie starał się zgłębić jej charakter i spodziewał się po niej czegoś podobnego. Znaki te zbliża do siebie wspólne zainteresowanie domem. Dobry związek.

— W mężczyźnie spod znaku LWA pociągać ją będą: siła, ciepło i wielkoduszność. On będzie umiał zapomnieć o jej słabych stronach. Bez trudu zabezpieczy ją materialnie, jednak ona może uważać, że fakt ten nie rekompensuje braku zgodności w sprawach uczuciowych. Związek ten zaczyna się zwykle gwałtownie, w zaślepieniu, lecz rzadko prowadzi do czegoś więcej.

— Zarówno kobieta spod znaku BYKA, jak i mężczyzna spod znaku PANNY są to bardzo praktyczne natury. Niezgoda z powodów finansowych im nie grozi. Jej podoba się jego ostrożność, on zaś uwielbia wręcz opiekować się kobietą, którą kocha. Jednak jego wrodzony krytycyzm może być źródłem napięć, dopóki ona nie odkryje, że najlepiej to ignorować... Jeżeli obojgu starczy cierpliwości, związek może być bardzo pomyślny. Dużą wagę będą miały w nim dom i dzieci.

— Natomiast związek z mężczyzną spod znaku WAGI będzie krótkotrwały. Mimo wspólnych zamiłowań artystycznych, jego niestabilność i brak troski o dom, a także nieumiejętność planowania i poświęcenia się wyłącznie pracy, spowodują wiele nieporozumień i konfliktów.

— W mężczyźnie spod znaku SKORPIONA nie będzie się jej podobać jego pragnienie bycia doskonałym i najlepszym za każdą cenę i w każdej chwili. Jednakże próby temperowania go przez panią spod znaku BYKA wyzwolą w nim sarkazm czy wręcz okrucieństwo i będą prowadzić do dramatycznych sytuacji. Jeżeli ona lubi życie nieuporządkowane, SKORPION będzie dla niej odpowiednim partnerem.

— Między kobietą — BYKIEM a mężczyzną spod znaku STRZELCA może zaistnieć tylko przyjaźń. On w przeciwieństwie do niej jest niestały w uczuciach, lubi przygody i ruchliwe życie. Ona co prawda może zmienić go trochę, ale nigdy całkiem nie poskromi. Jeśli się zakochają, zaczyna się prawdziwy kłopot.

— Mężczyzna spod znaku KOZIOROŻCA w pierwszej fazie znajomości nie ujawnia zazwyczaj swoich prawdziwych walorów. Tymczasem z panią spod znaku BYKA chętnie będzie dzielić zainteresowania i niepokoje. Oboje będą okazywać sobie wzajemne zrozumienie, oboje lubią także stabilność i zaufanie w miłości. Z początku jego brak talentów oratorskich może ją żenować, ale wkrótce przekona się, że uczucia KOZIOROŻCA przejawiają się bardziej w czynach niż w słowach. Dobry związek.

— Tego samego nie można jednak powiedzieć o związku z panem spod znaku WODNIKA. Poczucie bezpieczeństwa i przywiązanie do materialnej strony życia, tak ważne dla kobiety — BYKA, dla niego są nieistotne. Będą w niej budzić sprzeciw również takie cechy WODNIKA jak: zmienność w pracy, marzycielstwo, brak punktualności, niezdyscyplinowanie. Lepiej więc unikać tego związku.

— A i wśród panów spod znaku RYB nie radzę paniom — BYKOM szukać idealnego partnera. RYBY z początku sprawiają dobre wrażenie chęcią zadośćuczynienia wszystkim pragnieniom swych towarzyszek. Z czasem RYBY ujawniają swój samolubny charakter i skłonność do „strusiej polityki". W razie kłopotów szukają bardziej przyjemnego towarzystwa, nie stroniąc nawet od alkoholu.

— Mężczyzna spod znaku BARANA nie jest tym, którym pani — BYK będzie łatwo rządzić. Słabą stroną obojga jest skłonność do egoizmu. W przeciwieństwie do niej BARAN, podobnie jak STRZELEC, lubi zmienne i ruchliwe życie. Nie jest więc to dobrany związek.

— DZIECI spod znaku BYKA cechują się stabilną osobowością. Nie nawiązują kontaktów tak łatwo, jak dzieci spod znaku BARANA. Rzadko jednak są samotne, a kolegów i przyjaciół znajdują we wspólnych zamiłowaniach: artystycznych lub sportowych.

Dzieci spod znaku BYKA mogą wykazywać skłonności do lenistwa. Ze względu na upór BYKÓW trzeba dużo cierpliwości, by skłonność tę wykorzenić. Rodzice muszą więc zachęcać dzieci — BYKI do nowych zainteresowań, lecz unikając przymusu.

Dzieci te mają zazwyczaj dobry apetyt. Stąd skłonność do nadwagi, której opiekuni przeciwstawić się muszą odpowiednio wcześniej.

Najlepsze dzieci spod znaku BYKA rodzą się ze związku ojców spod znaku KOZIOROŻCA i PANNY i matek — RAKÓW i BYKÓW. Rodzice dla tego znaku nieszczęśliwi pochodzą spod znaku BARANA i LWA (ojcowie) oraz STRZELCA i WODNIKA (matki).

JUŻ NIEDŁUGO: BLIŹNIĘTA!

HOROSKOPOS

LEONID TREER

W SAMOLOCIE

Czyżowa wezwano w czerwcu do Moskwy, na ochrzan. Autobus z pasażerami sunął cicho po betonowych płaszczyznach. W dali odpoczywały potężne srebrzyste ptaki. Czyżow dotknął ręką kieszeni, w której spoczywał bilet podróżny i zmarszczył czoło pod wpływem ryku nadlatującego pasażerskiego giganta.

Miejsce miał tuż przy iluminatorze. W sąsiednich fotelach ulokowała się para małżeńska z synkiem Miszą, chłopaczkiem w wieku przedszkolnym. Nagle zajaśniał ekran z napisem wzywającym podróżnych do zapinania pasów bezpieczeństwa. Czyżow macał dookoła — zdenerwowany — szukając rzemieni. Samolot drgnął i zaczął wolno sunąć po pasie startowym. W końcu TU-154 wzniósł się majestatycznie w powietrze.

Czyżow zerknął w iluminator. W pobliżu okienka sterczało skrzydło samolotu. Czyżow w pewnej chwili zobaczył na srebrnej płaszczyźnie coś w rodzaju szwu. — Szczelina? — pomyślał ze strachem. W miarę jak obserwował skrzydło — zdawało mu się, że szczelina się powiększa.

— Spartaczona maszyna? — pomyślał ze strachem. — Pewnie w końcu miesiąca oddana do eksploatacji!

Fabryka, w której pracował Czyżow, produkowała ostatnio lodówki marki „Omega". Przypomniał sobie nagle szaleństwo w końcu każdego miesiąca, kiedy trzeba było pospieszać z wykonaniem planów. Ile potem lodówek wracało z reklamacjami.

Czyżow rozpiął kołnierzyk koszuli, aby nabrać oddechu. Próbował czytać gazetę, ale nie rozumiał tekstu.

— Tatusiu, a co będzie jak nagle spadniemy? — zapytał Misza.

— Nie bój się — uspokajał go ojciec. — Pan pilot nie pozwoli!

Pewność sąsiada uspokoiła Czyżowa. Szczelina w skrzydle jakby się nagle zmniejszyła.

Stewardessa zapowiedziała posiłek. W fotelach wszczął się ruch. Czyżow jadł śniadanie w Nowosybirsku przed czterema godzinami i teraz był głodny jak wilk.

Po skonsumowaniu ćwiartki kurczęcia Czyżow nabrał animuszu i zapragnął pogawędzić z towarzyszami podróży.

— Niezły samolot — powiedział do ojca Miszy.

— Samolot jak należy — mruknął ojciec przedszkolaka. — Zbudowany solidnie, nie tak jak te nasze „Omegi".

Czyżow aż podskoczył w fotelu na dźwięk znanego słowa.

— O jakich „Omegach" pan mówi? — powiedział rozdrażniony.

— O lodówkach marki „Omega"! Żeby im łapy uschły, brakorobom, za taką partacką robotę!

— Po co się zaraz unosić? — wtrącił nieśmiało Czyżow. — Pewnie pan trafił na egzemplarz wykonany w końcu miesiąca, kiedy w zakładach jest urwanie głowy z wykonywaniem planu...

— Wszyscy w „Omedze" tak gędzą — mówił ojciec Miszy. — A co to, za przeproszeniem, za różnica — wykonać lodówkę na początku czy na końcu miesiąca? Niestety, ja dowiedziałem się o tym za późno.

— Pan rozumie — Czyżow poczuł się dotknięty na honorze — pan rozumie — w końcu miesiąca zawsze się może zdarzyć brak. Takie jest prawo masowej produkcji.

— Nigdy o tym nie słyszałem — upierał się sąsiad. — Na żadne lodówki nie ma tyle reklamacji co na te „Omegi".

— A ja słyszałem — upierał się Czyżow — że „Omegi" to doskonałe aparaty chłodnicze, tylko jakość, powtarzam, zależy od daty produkcji.

— No dobrze — ciągnął ojciec Miszy. — Ale weźmy samolot, którym podróżujemy. Czy jakość samolotu też zależy od daty produkcji?

— Oczywiście — mamrotał Czyżow. — Zaraz zapytamy stewardessy:

— Panieneczko, kiedy wyprodukowano ten samolot? — pytał Czyżow.

— Nie wiem — odpowiedziała zdziwiona. — Ale jak pan sobie życzy, to zapytam pilotów.

Po kilku minutach wróciła z wiadomością:

— Nasz samolot, TU-154, oddany był do eksploatacji 31 grudnia 1975 roku.

Ojciec Miszy uśmiechając się sarkastycznie patrzył na Czyżowa. Rozmowa się nie kleiła. Czyżow wetknął nos w gazetę. Narastały w nim pretensje do Aerofłotu. — Też ci maszynę podstawili — rozmyślał z goryczą. — Gdybym wcześniej wiedział o tej dacie nie poleciałbym za nic!

Rodzice Miszy odsunąwszy do tyłu oparcia foteli — chrapali zdrowo. Czyżow też się zdrzemnął. Miał straszny sen. Śniło mu się, że tłum rozwścieczonych właścicieli lodówek marki „Omega" wpakował go do lodówki i wrzucił z pokładu okrętu do morza.

Ocknął się z koszmarnego snu. Samolotem coś trzęsło, jakby nie leciał w przestworzach, ale pędził po wyboistym trakcie. Przeraził się nie na żarty. — Ta maszyna nie wytrzyma. Montażyści w końcu grudnia nie myśleli o jakości.

Zerknął na zegarek. Pozostawało jeszcze trzydzieści minut lotu. Nagle TU-154 zaczął szybko opadać w dół. Czyżow wparł się łokciami w poręcze fotela i zamarł ze strachu. Znów zapłonął ekran z napisem: — Zapinać pasy! Pasażerowie zaczęli się budzić.

— Co, już widać Moskwę? — zawołał ojciec Miszy.

— Nic nie widać — mruknął Czyżow. — Sama wata!

TU-154 wpadł w gęstą mgłę. W samolocie pociemniało. Z głośników popłynęła przyciszona lekka muzyka, która jeszcze bardziej rozdrażniła Czyżowa.

Nagle pojaśniało. Rozległ się lekki stuk.

— Podwozie wysunęli do lądowania — odezwał się sąsiad całując w główkę małego Miszę.

Po chwili samolot zatrzymał się na betonowym pasie lotniska w Demodiedowie pod Moskwą. Czyżow nie odrywał oczu od iluminatora. Depresja ustąpiła miejsca radości życia. Kochał teraz wszystkich ludzi, i tego gadatliwego ojca Miszy, i stewardessę mówiącą coś do mikrofonu, i nawet naczelnika w zjednoczeniu w Moskwie, który za godzinę będzie go rugał za spartolone „Omegi".

Kropił ciepły deszczyk. Czyżow łykał pełną piersią orzeźwiające powietrze i sprawdził czy wszystkie dokumenty są w teczce. Przed wejściem do autobusu obejrzał się jeszcze raz na TU-154 gotujący się do powietrznego lotu.

— Czyżby go naprawdę zmontowali w ostatnim dniu roku? — powiedział sam do siebie kręcąc z niedowierzaniem głową. — Nigdy bym w to nie uwierzył.

(Literaturnaja Gazieta)

Tłum H. Rud.

CZTERY PLAKATY

Dwa lata temu Andrzej Grun zaprojektował dla „Odgłosów" plakat reklamowy, który był eksponowany w całym mieście. Na plakacie był pęk stylizowanych kwiatów owiniętych w egzemplarze naszego pisma.

W tym roku Jacek Sierociński zaprojektował dla „Głosu Robotniczego" plakat reklamowy. Wyobrażono na nim wiązankę kwiatów owiniętych w egzemplarz „Głosu".

Przewidując dalsze twórcze wersje tego pomysłu zaprojektowaliśmy dwa kolejne plakaty dla „Expressu Ilustrowanego" i „Dziennika Popularnego". Propozycje nasze oddajemy za darmo ewentualnym projektantom plakatów dla innych gazet, aby uwolnić artystów od uciążliwej pracy myślowej.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44 i 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł., kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 1662, W-2.